

PISMO DLA RODZIN.

№ 24. Warszawa, dnia 5 (17) Czerwca 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Od Redakcyi.

W nadchodzącym kwartale III r. b. „Opiekun Domowy" wychodzić będzie pod tą samą Redakcyją i na tych samych co dotychczas warunkach.

Tych samych co dotąd trzymając się zasad, pragniemy służyć wytrwale sprawom rodziny, jako ogniska, z którego społeczeństwo czerpie swe zdrowie i potęgę swoję — nie zaniedbując zarazem kwestyj literackich, naukowych i artystycznych.

Wzrastająca liczba prenumeratorów utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza stać się może pożyteczną, i że liczne bardzo ulepszenia, jakie z d. 1 Lipca r. b. przeprowadzić zamierzamy, zyskają jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym służyć chcemy rozważnie i wytrwale.

Przedpłata Opiekuna Domowego wynosi

w Warszawie rocznie Rs. 6.
półrocznie „ 3.
kwartalnie „ 1 kop. 50.
miesięcznie „ — „ 50.

na prowincyi łącznie z przesyłką pocztową
rocznie Rs. 8.
półrocznie „ 4.
kwartalnie „ 2.

Dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma, upraszamy o rychłe wnoszenie prenumeraty.

RODZINA

w stosunku do uczącej się młodzieży.

Żadna zapewne z żywotnych kwestyj społecznych nie budzi tyle narzekań i zatrważających niepokojów co sprawy tyczące się młodego pokolenia. Ubolewanie nad trudnością kształcenia, nad zepsuciem moralnem młodzieży i smutne rozmyślania o przyszłości, stały się bolesnem przywyknieniem naszem, z którem oswoiliśmy się tak, że narzekania i westchnienia, zastępują trzeźwe poznanie rzeczywistego stanu i myśl o środkach obrony.

Czy obawy i narzekania są słuszne? O tem może przekonać jeśli już nie jednozgodność opinii, to sąd każdego myślącego człowieka, gdy dzisiejszy stan uczącej się młodzi bez uprzedzeń porówna ze stanem dawniejszym.

Usunąwszy różowe szkła przez które zwykliśmy patrzeć na nasze młodzieńcze wspomnienia, nawet najzagorzalszy optymista dojrzy jeszcze przy porównaniu tak smutną różnicę, iż rad nierad przyzna —tak—tak—dawniej lepiej bywało.

Bardzo to pięknie chodzi jednakże o to po przyznaniu smutnego faktu nie skończyć na zwaleniu przyczyny złego na fatalne czasy okoliczności i t. p. straszydła. Trzeba koniecznie sięgnąć do źródła i nie wahać się je wskazać choćby wyznanie było bolesne. Przyczyna otóż leży głęboko, ona nie z zewnątrz pochodzi, ona leży *w rodzinie*. Z rodziny bierze początek, to też tylko w rodzinie, leży na nią siła zaradcza.

Byłoby ciężką obelgą gdybyśmy śmieli zarzucić upadek *rodzinie* u nas; nikt nas tem widmem nie straszył dotąd i straszyć nie będzie. Rodzina jest potęgą naszą i nadzieją, nieskalaną jest czystość jej ogniska, do jej nieprzebranych skarbów odwołujemy się też zawsze w najważniejszych potrzebach społeczeństwa. Zjawisko moralnego zachwiania w młodocianem pokoleniu nie w upadku rodziny ma swój początek, lecz w słabości jej wpływów, nie z braku ich sił pochodzi ale z braku należytego jej zastosowania.

Przekonajmy się bliżej czy twierdzenie to ma rzeczywistą podstawę.

Oddając dziecię do publicznego zakładu jesteśmy przekonani o najlepszych jego zasadach, o jego czystości moralnej. Dziecię wychowuje się po za oczami naszemi, widzimy je tylko parę razy do roku przez czas dłuższy, a przy każdem nowem widzeniu spostrzegamy co raz większe zmiany w jego usposobieniu i budowie moralnej, zmiany pochodzące z obcego nam świata. Rodzice widzą corocznie jak niezależnie od nich rozwija się nieprawidłowo moralny organizm syna, jak paczą się i zatracają w nim zasady zaszczepione w domu, jak umysł jego oddala się ciągle od du-

cha rodziny i czyni go nową zatrważającą o swą przyszłość istotą. Cóż robią wtenczas? Ubolewają.

Każde odkrycie nowej wady, każde nowe zboczenie, staje się tematem długich i gorących kazań, przestróg, napomnień. — Chłopiec słucha, odczuwa nawet, płacze, obiecuje poprawę i — na obietnicach się kończy. Wszedłszy znów w świat po za rodziną, idzie dalej tąż samą drogą co przedtem i rozwija się pod działaniem jeśli nie zgubnych to bezładnych wpływów odbieranych z otoczenia. Wreszcie umysł chłopca oddziela się zupełnie od rodziny, jej zasad i przekonań i wpada na manowce wiodące do ostatecznego zepsucia. Wtedy mówimy z boleścią że świat zgubił nam dziecię, obwiniamy duch wieku, obwiniamy szkołę że nie zapobiegła złemu, obwiniamy wszystko prócz siebie. Czy rzeczywiście jesteśmy tu niewinni?

Jesteśmy niewinni, jeżeli dziecię przed wypuszczeniem z naszej bezpośredniej opieki utwierdziliśmy istotnie (czynnie, nie słowy) w czystych zasadach dobra i prawdy, jeżeliśmy nie rzucili go na los szczęścia między ludzi którzy oddane im dziecię uważają za indywiduum obdarzone mniejszym lub większym apetytem, jeżeliśmy zachowywali ścisłą i ciągłą łączność z dzieckiem, tak aby żadna nowa myśl jego nie była nam obcą i tajną. Jesteśmy wtedy niewinni i wolno nam się skarżyć na losy, ale na Boga, nie łudźmy sumienia swego jeśli z ręką na sercu powiedzieć tego nie możemy!

Czem jest oddziaływanie pierwotne rodziny na dziecię przed oddaniem go do publicznych zakładów? Smutne to pytanie dotycze zarówno sprawy domowego wychowania jak i mocy domowego wpływu na wychowańca. Domowe wychowanie stoi na bardzo niskiej stopie. Patryarchalna siła religijnego wpływu osłabła znacznie, a nic jej niezastępuje. Wyuczamy dziecko religijnych formułek, aleśmy już nie zdolni w lać w nie ducha, który niegdyś wystarczał jako silna podwalina moralnej budowy człowieka. Mechanicznie prawie tylko wkładamy w młody umysł religijność i opartą na niej moralność w formie prawideł uświęcanych powtarzaniem, ale czynnie wcale nie pracujemy nad tem. O rozumnym rozwoju władz duszy dziecka, mówić nawet trudno. Dziecię obraca się wśród domowego otoczenia, odbiera z praktyki mniej lub więcej dodatnich wpływów zresztą uczy się lat parę pod kierownictwem jakiego profana od którego niewymaga my nic więcej nad przygotowanie chłopca do publicznych szkół, i gdy już jest uzdolniony, odwozimy go do szkoły. Chłopiec płacze i tęskni dopóki nie zapomni swych dawniejszych przyzwyczajeń i swobody, wkrótce przejmuje się nowem, pełnem barwy i ruchu życiem, lgnie do otoczenia i żadna już myśl głębsza nie łączy go z domem prócz zwyczajnego przywiązania do rodziny, nieraz czysto egoistycznej tylko natury. Zespala się coraz bardziej z otoczeniem w które los go w prowadził, z lekkomyślnością chwyta się schlebiających mu wpływów nowego dlań świata, zaczyna inaczej myśleć, inaczej pojmować, a właściwie mówiąc tu dopiero zaczyna myśleć, a jakie to mogą być myśli? Pewnie różne od nudnych morałów domowych. Może tu zajść nawet walka w jego umyśle która prędzej lub później przechyli się wreszcie na stronę przeciwną domowi, jako silniejszą.

Ważnym względem jest tu brak prawdziwej łączności między synem a rodzicami; szczerość zupełna między nimi należy bez wątpienia do wyjątków. Niemogliśmy jeszcze wyjść po za patryjarchalno-średniowieczny stosunek rodziców do dzieci.

Ideałem naszym jest tu cześć religijna i nieprzystępna powaga. Co się zyskuje na takiem dążeniu — niewiemy, ale traci się na możności oddziaływania na potomstwo. Dopóki nie zniknie silna wiara w rodzicielską powagę, jesteśmy panami placu, lecz gdy tylko ta zostanie zachwianą, syn widzący w ojcu bardziej pana swego niż prawdziwego, otoczonego szacunkiem przyjaciela, traci całą szczerość i przyodziany głęboką hypokryzyją raczej na odpornem względem niego staje stanowisku, przyjmując słowa jego raczej jako wyroki z pod których potrafi przecież wywinąć się, niż jako idące z serca słowa najlepszego z przyjaciół. Matka przystępniejszą bywa, rządzi się bowiem uczuciem, nieraz zaślepionem i jednostronnem. Lecz jej wpływ jest słaby, chwilowy tylko, jeśli jeszcze, co często bywa syn nie wziął góry nad nią i słabości jej wyzyskiwać się nienauczył.

Zatrważającym jest taki stosunek do rodziny młodzieńca odciąganego od drogi prawych zasad przykładem i wpływem ujemnych żywiołów, jeśli się z nimi zetknie w swem otoczeniu które właściwy teraz świat jego stanowi. Jakież bywa to otoczenie? Czy staramy się o stworzenie zgodnego z wychowawczem dążeniem? Dość spytać się czem są t. z. stancyje uczniowskie, aby poznać lekkomyślność rodziców i nieprzedsiębierczość ich w interesie najświętszym, nawet własnym i więcej niż własnym bo stanowiącym nieraz o przyszłości potomstwa, które przecie jest celem ich życia.

Smutny jest stosunek rodziny do kształcącej się młodzieży, bo powierzchowny. Miłość rodzinna nie zdobywa się na środki skuteczne i w bezwładnem ubolewaniu patrzy tylko na karłowacenie i psucie się swych latorośli, tak jak ludzie narzekający na nowy stan rzeczy którego nie pojmują, stojąc po za jego obrębem.

Powszechnym jest zwyczajem narzekać na zgubny wpływ nowszych pojęć i wyobrażeń na młodzież. I tu bez wahania w tych nowych pojęciach szukamy przyczyny złego, niezadając sobie pytania co jest właściwie zgubne: pojęcia nowoczesne, czy nieprzygotowanie młodzieży do rozumnego postawienia się względem nich i czerpania ich z czystego źródła. Dla czegóż nie staramy się pojąć nowych myśli, które bądź co bądź muszą wpłynąć na młode pokolenie; czemu nie nauczymy się przemawiać do serc i umysłów młodocianych językiem przekonania zamiast bezowocnego rzucania komunałami?

ŚLADY ŻYCIA.

XXIV.

Tyle życia, ile... w czynie.

Czy kontrola postępowania pewnych panów należy do opinii publicznej? Czy porządny, poważny, rozsądny człowiek ma prawo wdać się czynnie, gdy skromna kobieta staje się celem żartu młodego furfanta?

Prostą bardzo znajdzie odpowiedź, kto choć cokolwiek przypatrywał się wyścigom ulicznym. Ludzie pewnego wieku a nawet siwowłosi młodzieńcy najczęściej dopuszczają się kary godnych postępków.

Faktem jest, że niech tylko w ogrodzie lub na skwerze usiądzie kobieta sama jedna dla odpoczynku, niech wraca szarym mrokiem do domu, najniezawodniej jakiś motylek, któremu już wiek krzyżyki porachował zjawi się z ofiarowaniem... *drżącej już ręki*. Nasze panie często sami dość energicznie traktują podobnych jegomości, często słyszeć można o pocałunku głośnym... *nie ustami*; nie jednokrotnie opiekunów opuszczonych niewiast, grzeczniejsi jeszcze stójkowi pod rękę odprowadzają... *nie do domu*; mimo to jednak czyn zaczepienia kobiety na ulicy, jako nie zastrzeżony ani kodeksem ani policyjnem rozporządzeniem uchodzi po większej części bezkarnie. Panowie zaczepnisie śmieją się w kułak i w nową popadają recydywę. Wypada zatem odwołać się do kodeksu... służącego za podpórę, z gałką bronzową, słoniową lub wprost do bambusa!

Zanim postaramy się o przekonanie ludzi, że w inny sposób traktować takich włóczęgów ulicznych niepodobna, opowiemy mały fakcik świeżutki bo przed kilku dniami mający miejsce w Warszawie.

Zauważano z pewnego sklepu, że jakiś podtatusiały jegomość odbywał przed drzwiami... *wartę honorową*. Nie młody pan, pięknie był ubrany, ślicznie kręciły mu się włosy zapewne z peruki, miał jasne rękawiczki i bardzo misternej roboty laseczkę.

W sklepie młoda kobieta kupowała perkalik.

Kiedy przyszło do zabrania dość grubej paczki, kupczyk usłużny ofiarował się zawołać dorożkę. Pryncypał jednak spostrzegłszy galanta, rzekł:

— To zapewne mąż pani dobrodziejki?

Pani obejrzała się i nie namyślając się długo, wzięła do ręki paczkę dziękując za usłużność kupczyka. Otworzyła drzwi, donżuan uśmiechając się uchylił kapelusz i sięgnął po paczkę. Dama bez wahania oddała przedmiot.

Idą szybko. Na rogu Ś-to Krzyskiej dama znowu wstępuje do sklepu i po chwili wychodzi z grubem zawiniątkiem. Z kolei zawiniątko przechodzi do rąk jegomości.

Usiłuje on zawiązać rozmowę, ale pani idzie szybko, przyspiesza więc kroku, niestety... nieznajoma jeszcze szybciej postępuje.

Dochodzą tak aż do Marszałkowskiej.

— Może panu ciężko, mówi słodkim głosem pani dołączając do słów uroczy uśmiech.

— O pozwól mi pani być ci użytecznym.

Przeszli całą Marszałkowską, pani skręca w Jerozolimską aleję.

Jeśli uznajemy niebezpieczeństwo grożące uczącej się młodzieży ze strony moralności i zasad, nie narzekajmy bezsilnie na duch czasu który mimo swych zboczeń i zamieszania ma święte dążenia, nie zwalajmy winy na szkołę ale szukajmy ratunku w sobie samych i w żywotności rodziny. Zamiast bezwładnego zdania się na losy, wejdźmy w siebie i z siebie zaczerpnijmy siły, pamiętając że rodzina — jeżeli jest podstawą społecznego dobra, musi siły swe stosować do jego obecnych potrzeb i wymagań, że negatywne tylko jej stanowisko i bierność, równie zgubne są, Wierzymy mocno że tylko zastój chwilowy pochodzący w części z trudnych warunków życiowych osłabił moc oddziaływania rodziny na młodzież, na ten zakład przyszłości naszej...

T. Z.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— O niechże Bóg zapłaci panu za to upragnione słowo!— rzekła drżącym głosem Salomea wychylając z żywopłotu drobną rączkę.

Floryjan uścisnął serdecznie tę rączkę. Chciał ją gorąco ucałować, ale ostrokół nie pozwolił.

— Powtarzam sto razy, że kocham cię mój aniele, mówił w zapale Floryjan, kocham do ostatniego tchu mego życia — i jestem w stanie walczyć z całem piekłem!... Cóż odpowiedziałaś aplikantowi?

— Powiedziałam, że kochać go nie mogę, bo moje serce już wybrało!

— O dzięki ci, dzięki mój skarbie jedyny!... A babunia?

— Babunia gniewa się na mnie — a nawet dostała ataku.... teraz uspokoiła się i zasnęła. Korzystałam z jej snu, aby na świeżem powietrzu ochłodzić moją gorącą głowę... o gdybyś mógł czuć jak mi głowa pęka!

— Wierzę — wierzę.... i cóż więcej babunia?

— Babunia zagroziła mi przekleństwem swojem!

— Przekleństwem groziła? I jest to chrześcijańska kobieta?... A chodzi do kościoła na nieszpory!...

— Obawiam się, że będzie uporczywą... jeden tylko byłby sposób na to!

— Sposób? Jaki sposób? Powiedz, a pójdę jak Orfeusz do samego piekła!

— Gdyby po naszej stronie stanął mój opiekun!

— Szambor?

— Tak—wujaszek Szambor! Przecież znasz go!

— Znam go doskonale! Jesteśmy w przyjaźni!

— Gdybyś pojechał do niego, zanim babunia uprzedzi go....

— Pójdę jutro rano!... Ale przysięgnij mi, że pozostaniesz moją!

— Twoją na zawsze!

Tutaj zatrzeszczał ostrokół w swoich posadach, a na jego szczycie okazała się głowa z długimi włosami.

— Będę twoim do śmierci! ozwał się głos z góry, a ciemna bryła z długiemi włosami pochyliła się przed krzakiem róży, za którym bieliła się twarz Salomei.

Księżyca nie było na niebie. Żadne oko niepatrzyło na dwoje szczęśliwych ludzi.... przedzielała ich tylko gałązka z różami świeżo rozkwitłemi.... których woń upajała zmysły aż do omdlenia....

Salomea nie uchylała bynajmniej swego białego czoła... stała spokojnie z piersią szybko falującą.... a ciemna głowa z długimi włosami pochylała się nad nią coraz więcej....

— Do śmierci twoim jestem — powtórzył głos tuż nad nią — i w tej chwili uczuła na czole gorące tchnienie, jakby wietrzyk południowy przeciągnął do północy...

Stanęły w drodze zawistne róże z pączkami. Floryjan odsunął róże na stronę i przychylił się jeszcze więcej... ale w tej chwili z bolesnem westchnieniem cofnął się w tył i z wyżyn ostrokołu zeskoczył na ziemię.

Zdradliwe róże!... Niemogąc wonią swoją bronić dziewiczego czoła... obroniły je — cierniami. Floryjan zamiast z upominkiem słodkiego pocałunku musiał odejść na bój życia z raną, jaką mu zadały — ciernie zawistnej róży.

Dłużej nie można było przy ostrokole pozostać — bo jakiś ciekawy człowiek zdążał właśnie ku nim z latarnią.

Wymówiwszy jeszcze kilka słów do siebie rozstali się oboje przepełnieni rozkoszną nadzieją, że w groźnej walce o szczęście wytrwają mężnie przy sobie.

Salomea była już teraz szczęśliwa. Kochała i była kochaną. Tyle tylko pragnęła. O resztę trzeba walczyć — a obawa walki dodawała jej sił, ale oraz potęgowała jej szczęście!...

I Floryjan był szczęśliwy. Świetne odniósł zwycięstwo — Salomea kochała go, a on za nią mógłby iść do piekła!

Uwierzył w tej chwili fanatycznie w szczęście swoje!

XVIII.

Miasto powiatowe miało dziwną policyję serc ludzkich.

Zaraz nazajutrz o godzinie dziewiątej zrana kupiła pani aptekarzowa pół tuzina chustek i weszła z niemi do magazynu, w oknie którego wystawione było białe szycie.

— Proszę mi kazać te chustki obrąbić, rzekła do bladej kobiety, która zatrudnioną była rozgatunkowaniem różnych sztuk płótna.

— Czy pani potrzebuje natychmiast? ozwała się blada kobieta do patrycyuszki miasta.

— Proszę zaraz dać do roboty — a ja tymczasem zaczekam.

Blada kobieta zawołała do drugiego pokoju na szwaczkę, oddała jej robotę a sama wzięła

---

Tu galant cokolwiek jest zmieszany, spotkał kilku znajomych, przecież z najlepszą miną, zasyłając ręką pozdrowienie daje poznać na migi, że osoba obok niego postępująca, nie pozwoli mu zatrzymać się.

Na rogu alei i ulicy Twardej, dość liczne towarzystwo zatrzymuje damę, kobiety zaczynają mówić po francusku, potem półgłosem szepczą:

— Któż to taki? mówi filuterna blondynka.

— *Cicerone*, *odprowadzacz*, zaczepił mię na ulicy, nie mogłam się pozbyć natręta...

— Więc każesz mu dźwigać!.. i piękny buziaczek impertynencko rozśmiał się w oczy czekającemu elegantowi.

— Do widzenia moja droga. A panu radzę. rzekła dygnąwszy, mieć się na baczności, zdaje mi się, że paczka rozwiązała się... pogubisz! Ha! ha! ha!

Istotnie nasz pan, w pośpiechu, przerwał sznureczki paczki. Poprawia się tedy i bieży szybko za nieznajomą. Forsowny spacer okrył go potem i kurzem, czuje że mu ręka odmawia pomocy, cztery grube paczki, *żenują* go na prawdę a tu niewiadomo, kiedy się skończy podróż. Radby spocząć, pokrzepić się kufelkiem, ani sposobu, pani już daleko. Dogonił ją. Pani ujrzawszy zasapanego pomocnika, z uśmiechem zwraca się do niego:

— Ależ doprawdy, pan jesteś nadzwyczaj strudzony...

— Zawołam dorożkę, mówi urywanym głosem dandys.

— Broń Boże! nie mogę narażać pana na niepotrzebny wydatek. Racz mi pozwolić, weźmę sama.

— Nie pani, obdarzony jestem znakomitą siłą...

— Bo widzi pan łaskawy, mam interes aż na Chłodną, cokolwiek za daleko...

— Choćby nad brzegi samego piekła. Idę śmiało za panią w ognie szatańskie.

Pani śmieje się głośno. Zgrabne koreczki pukają ostro po flizach, słychać czasami szelest potknięcia się starego *Don Juana*, czas płynie ale też i siły młokosa wyczerpują się. Już oto zdjął kapelusz, batystową chusteczką otarł uznojone czoło; już z pod prawego ramienia wyjął paczki—pani skręca na Chłodną. Lowelas pod pozorem przypatrzenia się szyldowi, zatrzymuje się. Pani wraca:

— Czy przypadek jaki?

— Nie pani, ale racz spojrzeć na ten wypis prawdziwie litograficzny.

— Prawda, odpowiada pani dusząc się ze śmiechu—ale komu w drogę temu czas, idźmy panie. Z Chłodnej przeszli na Zimną, potem przez Koszary Mirowskie, aż za Żelazną bramę. Pan upuszcza paczkę. Pani z uśmiechem żałuje go i litując się pociesza: *kupię tylko parę garnków, kilka funtów słoniny, trochę mąki.*

— Co?—woła przerażony jegomość, ale nieznajoma już stoi przy straganie.

Po chwili zabiera dwa ogromne garnki.

— Za pozwoleniem to do mnie należy, mówi podskakując dandy.

— Zgoda!—ale w takim razie oddaj mi pan paczki!

— Nie! nie!

— Ale bardzo proszę.

Po krótkim sporze, paczki przeszły do rąk

się do obowiązku bawienia tymczasem zacnej patrycyjuszki.

— Cóż tam? — zagadnęła od niechcenia pani aptekarzowa — czy nie robisz pani jakiej wyprawy?

— O żadnej wyprawie dotąd nic nie słychać! odpowiedziała właścicielka szwalni — jakoś mężczyzni nie chcą się żenić!

— Jakto nie chcą się żenić!... Przecież niedawno, bo dopiero wczoraj tentował jeden o pannę Salomeję!

Szwaczka spojrzała na mówiącą z uwagą, potem uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Nic o tem nie wiem — odpowiedziała po chwili ukrywając jakąś radość — różne bywają wieści!

— Przecież pani najlepiej o tem musisz wiedzieć, bo temu nieszczęśliwemu konkurentowi stanął w drodze — brat pani. Nieprawdaż? Ten muzyk jest bratem pani!

— Tak jest — ale o bliższych jego sprawach nic nie wiem.

— Niepodobna! Robisz pani z tego sekret, o czem mówi całe miasto. Aplikant dostał odkosza, a brat pani miał z panną Salomeą schadzkę wieczorem w ogrodzie — i oboje przysięgli sobie, że będą się kochać aż do śmierci!

Zarumieniła się biedna szwaczka.

— Gdzież tam memu bratu tak wysoko sięgać! rzekła po chwili w braku innego konceptu.

— Co to znaczy: wysoko? Czyż to pani Rabsztyńska magnatka jaka czy co? Nieprzeczę, że kiedyś było się czemś, ale z pałacu trzeba było się wynieść i zamieszkać dworek przedmiejski — i państwo skończyło się!

— Tak, to prawda — z rosnącą odwagą ozwała się szwaczka.

— A brat pani mógłby przecież wybierać w całem mieście! Sądzę że nawet starościanka....

— Co pani mówi!

— Prawdę moja pani — prawdę mówię! Czemże dzisiaj jest urzędnik? Żebrakiem! A muzykowi idą zawsze pieniądze. Niech da jeden, dwa koncerta, to już zbierze więcej niżeli wynosi pensyja wyższego urzędnika! Czy nieprawda?

— Ta.... to być może. Ale z tem wszystkiem...

— Panna Salomea nawet świetną partyję zrobi jeżeli wyjdzie za brata!

Zarumieniła się twarz szwaczki.

— Pani łaskawa żartuje sobie! Przecież panna Salomea ma dworek i kamienicę....

— Co tam dworek i kamienica! Dzisiaj to wszystko nic nie znaczy! Komu świat cały stoi otworem jak bratu.... temu i kura złote jaja nieść będzie!... Czy to prawda, że z wujem panny Salomei jest pan Floryjan w zażyłej przyjaźni?

— Przyjechał właśnie z listem od niego.

— Czegóż więcej potrzeba? Pan Szambor to przecież opiekun panny Salomei!... Ja to zaraz myślałam sobie, gdym się dowiedziała....

I tak dalej szła rozmowa poufna. Biedna szwaczka tak była dzisiaj szczęśliwą, tyle dobrych rzeczy dowiedziała się od starszego brata, że wcale nie spostrzegła podstępu pani aptekarzowej, i ze wszystkiego szczerze się wyspowiadała. Między innemi powiedziała jej że Floryjan dzisiaj rano do pana Szambora wyjechał i wkrótce z dobrą nowiną powróci.

Tymczasem chustki były już obszyte a pani aptekarzowa pożegnała szwaczkę i udała się czemprędzej do pani komisarzowej, aby dzisiejszą zdobyczą przed nią się pochwalić.

Tak samo poszczęściło się także i staremu organiście. Zaraz po dwunastej godzinie, w której to porze jedzą zazwyczaj obiad ludzie ręcznej pracy, wszedł do domku ślusarza i z niemałą radością ujrzał na stole pieczoną kurę.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołał na progu — a cóż to wesele czy zaręczyny u was?

Ślusarz zmieszał się trochę — przysunął gościowi stołek i położył nóż przed nim i chleb.

— Prosimy do obiadu — rzekł po chwili jak to w takim razie zwykł był mówić jego ojciec, dziad i pradziad — prosimy do obiadu, siadajcie Marcinie!

— Ale kura! taka tłusta jak na chrzciny! zauważył organista i obtarł ręką wąsy.

— To przypadkiem się stało — tłumaczyła żona ślusarza — kurę te miał pan Floryjan wziąść na drogę, ale... spieszył się i nie chciał czekać!

— Czy odjechał?

— Tak... odjechał! Ot jak zwykle artysta!

— Zapewnie na koncerta!

— A... tak... zapewnie!

Mimo tak dyplomatycznej z razu postawy obojga małżonków udało się jednak wybornie staremu organiście. Nie tylko zjadł połowę kury nie licząc w to chleba i piwa — ale zręczny rozmową wydobył od szczęśliwych ludzi całą dzisiejszą tajemnicę z wszelkimi dodatkami.

I tak całe miasto wiedziało już o wszystkiem, a mimo to rozmawiano jeszcze i spierano się jakby były jeszcze rzeczy sporne. Chodziło bowiem o pana Szambora, który ważną miał rolę do odegrania. Mógł pozwolić na ślub — ale mógł także temu się sprzeciwić. Jedni więc widzieli nowe trudności, drudzy słyszeli już „veni creator.“

W jednej tylko rzeczy nie było sporów, to jest, że aplikant odkosza dostał i że kasyjer z tego powodu butelkę wina węgierskiego u Arona wypił i mimo to jeszcze się nie uspokoił.

Również zagadką było, że pani kasyjerowa, w tym dniu smutku i żałoby — zamiast zamknąć się w swoim dworku i rzewnie nad stratą kamienicy płakać — zaprosiła właśnie na kawę do siebie panią radczynię z trzema córkami, która przypadkiem nazywała się Zofija.

Biedny Karol siedział właśnie pod orzechem włoskim i blady jak nieboszczyk obgryzał z rozpaczy wąsy i najstarsze włosy z brody — gdy pomiędzy przetrzebioną fasolą okazała się wspaniała postać pani Zofii z trzema córkami.

Biedny aplikant był w tej chwili najprawdziwszym mizantropem. Ujrzawszy ludzi szczę-

---

pani, dwa duże garnki do rąk zdetonowanego motylka.

— Gdzie my idziemy droga pani?

— Do składu mąki.

Jakoż pani kupuje pięć funtów mąki.

— Gdzież tu zabrać?

— Nasypać w garnek, woła mączarka.

— Prawda, racz pan pozwolić.

— Jak to?

— Wsypie się mąka.

— I ja mam nieść?

— Jeżeli pan pozwolisz, potem w drugi włożymy słoninę.

— Słoninę? Ale któż pani jesteś?

— *Zarządczyni taniej kuchni*, powiada śmiejąca się pani.

— A to sobie nieś sama, woła dandys, umykając co żywo między stragany.

Śmiech mniemanej zarządczyni ścigał go długo. W towarzystwach znajomych pana S. opowiadają o przymusowym mączarzu i przygotowują mu małą niespodziankę, ale pan S. skazał się dobrowolnie na dwu miesięczne unikanie wszelkich znajomych i zapewne anegdotki słyszeć nie będzie.

Statystyka, wykazując wpływ pór roku na różne objawy życia społecznego, zapomniała o jednym, równie jak inne ważnym i doniosłym. Wiosna ma ten przywilej, że skoro zstąpi na czoła śmiertelników w całej pełni uroczych barw i promieni, zwraca szczególniejsze względy na indywidua, brzemienne twórczością poetyczną. Niezwykła wtedy w dziedzinie tej objawia się płodność. Kwiateczki, wesołe ptaszęta, urocza trzódka wiejska (miejska jest zbyt prozaiczną), szafirowy lazur niebios, wonne tchnienie zefiru (również nie miejskiego), wreszcie zielona trawka — oto upodobane przedmioty, ku chwale których nastraja się wieszcza lira poetów *majoris et minoris gentii.*

Dziwne też w owej porze zdarzają się niekiedy wypadeczki natchnionym indywiduom. Oto niedawno jeden z wieszczów wyprawił się w miłem towarzystwie nimfy jakiejś na majówkę. Chcąc się jednakże wyróżnić z grona zwykłych śmiertelników, wybrał na tę peregrynacyję piękną noc majową, kiedy:

„Na cichem niebie drżały
Światełka gwiazd promienne
A lilije pochylały
Do rzeki czoła senne.“

A dla uzupełnienia uroczych wrażeń:

„Z majowem lasów tchnieniem,
Wiatr pieśni niósł odgłosy,
I igrał jej odzieniem,
I pieścił cudne włosy.“

Na nieszczęście ostatni obraz, pokryty mrokiem nocy, mniej silne wywierał wrażenie.

Ponieważ była pora spóźniona, więc szczęśliwa para, zamiast do Czerniakowa lub Wilanowa, udała się „drożyny krętej śladem“ (!) i idąc tak sobie wolniutko w błogiem rozmarzeniu doszła do miejsca:

„Gdzie lampa światłem bladem
Migała przed obrazem.“

Uklękli więc widocznie u stóp krzyża przy drodze gdzie:

„Lud kwiaty niósł w ofierze,
Pieśń brzmiała staroświecka.“

Dziewica modliła się „szczerze, z *anielską wiarą dziecka,*“ pragnąc zapewne odpokutować za wędrówkę „drożyny krętej śladem.“

Teraz, czuły wieszcz żałuje tej uroczej majówki, czyli raczej *nocówki*, i płacze serdecznie, że chociaż:

śliwych zerwał się na nogi i już zabierał się do ucieczki przez najgęstszą fasolę — gdy pani kasyjerowa chwyciła go za rękę i z macierzyńską czułością rzekła do niego:

— Najgorzej zrobisz gdy uciekniesz. W mieście mówią i tak, że dostałeś odkosza i z tego powodu chcesz się utopić w Solance. Stało się nieszczęście — to prawda... ale człowiek szanujący swoją godność, nie będzie światu okazywał zranionego serca. Przeciwnie trzeba ludziom okazać wesołe oblicze — chociażby to kosztowało nieco przymusu — bo wtedy tylko umilkną złośliwe języki!.... Usiądź boć tak już cię kobiety widziały!

Aplikant wydarł garść włosów z głowy.

— Ależ ja nie umiem udawać!— zawołał w rozpaczy — a boleść moja jest wielka!

— Musisz się zawczasu do tego przyzwyczajać, że przed światem trzeba często udawać! Często wypadnie ci śmiać się, gdy serce pękać będzie z bólu!...

— Nie mogę! — westchnął i tęsknem okiem zmierzył najgęściejszy zagon fasoli, po za którym wyobrażał sobie upragnioną samotność.

— Przecież sam wstyd powinien ci podyktować, co masz robić!

— Wstyd?... Jaki wstyd?

— Wstyd że się zrobiło krok fałszywy!

— Krok fałszywy? — krzyknął aplikant—jaki krok fałszywy?... To przecież był najważniejszy krok w mojem życiu, za którym rozpoczyna się dla mnie pustynia i.... grób!

Kasyjerowa nie mogła przy tych słowach powstrzymać pewnego uśmiechu, któryby biednemu aplikantowi mógł cały jej plan dzisiejszy zdradzić, gdyby go tenże był widział. Ale aplikant nie widział dzisiaj nic przed sobą, prócz ruszających się pomiędzy fasolą czterech kapeluszy z lśniącemi piórami, które coraz groźniej zbliżały się do orzecha.

— Niechciałam powiedzieć — odrzekła kasyjerowa — żeś zrobił krok fałszywy, ale że tak ludzie w mieście mówią. Trzeba więc im śmiało stanąć przed oczyma, aby zamilkli w złośliwości swojej. Zostań, zbierz wszystkie siły, bądź grzeczny i jeżeli możesz dowcipny!

W tej chwili wychyliła się z po za fasoli uśmiechnięta twarz pani radzczyni, a za nią z ciekawością w bystrych oczach postępowały trzy dorodne córy. Średnia wiekiem — panna Kamilla — spiekła nawet małego raczka, gdy ujrzała blade oblicze nieszczęśliwego Karola.

Kasyjerowa przywitała serdecznie gości swoich i posadziła pod zieloną kopułą świątyni familijnej. Uśmiechnęła się nawet z pewnym zagadkowym wyrazem, gdy przypadkiem miejsce obok aplikanta dostało się pannie Kamilli.

Zdaje się, że pani kasyjerowa chciała przykładem swoim zachęcić Karola do wesołej roli przed światem. Twarz jej bowiem jaśniała wyrazem prawdziwej radości — ściskała i całowała panią Zofiję i jej trzy córy, a dla Kamilki, która przy aplikancie siedziała, była czułą jak rodzona matka.

Tak wydawało się przynajmniej Karolowi, bo trudno mu było w tej chwili posądzić kasyjerowę o podstęp — a o rozmowie z nią przed ową pamiętną kawą muzykalną już na wieki zapomniał!

I posłuszny siostrzeniec częścią z posłuszeństwa dla jedynej krewnej swojej, a częścią z potrzeby maskowania się przed złośliwym światem doszedł stopniowo do tego, że po kawie i owocach zerwał w pobliżu rosnący rumianek i podał go Kamilli, aby z niego wyczytała sobie wyrocznię.

I biedna, zapłoniona dziewica zaczęła wyrywać listek po listku z białej korony kwiatka, i zerwawszy ostatki spojrzała nieśmiałem ale głębokiem wejrzeniem w bladą twarz nieszczęśliwego człowieka......

Na to nadszedł stary kasyjer w towarzystwie poważnego radzcy. Ujrzawszy całe towarzystwo pod orzechem a w niem Kamilkę, Karola i bezlistną łodygę rumianku — wpadł widocznie w gniew niemały. Poczerwieniał jeszcze bardziej, obrócił się do towarzysza i zawołał:

— Widzisz radzco — tak mi zawsze robi! Żebym co najlepszego wymyślił, to ona mnie uprzedzi i wszystko z przed nosa zgarnie!.... Trzy godziny siedziałem u Arona przy butelce, myślałem i wreszcie wymyśliłem coś... aż oto przychodzę i patrz radzco! Uprzedziła mnie!... A mówię ci radzco, była to najlepsza i ostatnia moja myśl w życiu!

— Tak, tak, mości sąsiedzie!— odparł radzca dyplomatycznie — my rządzim światem, a nami kobiety.

Karol nie słyszał dobrze tych słów, bo kasyjerowa na przeproszenie męża wyszła naprzeciw z owocami, a że staruszek bardzo lubił owoce, więc rozmowa przeszła zaraz na inny przedmiot.

Nieprzerywał więc nieszczęśliwy aplikant swego zatrudnienia. Machinalnie prawie obrywał białe listki rumianku, w czem go jednak surowo kontrolowała panna Kamilla.....

XIX.

Prawie o tym samym czasie, gdy biała korona rumianku w rękach Karola tyle rozkosznych rzeczy pannie Kamilli wypowiadała, zbliżał się Floryjan do siedziby człowieka, który dzisiaj trzymał w ręku losy jego żywota.

Rzecz dziwna. Gdy z domu dzisiaj rano wyjeżdżał, był tak pewny swego szczęścia, że nawet cień obawy niezamącił mu nieba jego marzeń. O sobie miał zawsze wyobrażenie niepospolite — czuł na skroniach laury przyszłej sławy swojej — miał pod długimi włosami przyszłe arcydzieła, które tymczasem tam się wylęgały — słowem był człowiekiem, dla którego nic nie mogło być niepodobnego. Prócz tego u wód krajowych poznał się z JPanem Szamborem, który był zapalonym melomanem, grywał z nim razem, zjadł nawet kilka obiadów a jeden z winem szampańskiem. Wszystko to razem nazwał dzisiaj przyjaźnią, a gdy jeszcze list od niego do pani Rabsztyńskiej na drogę otrzymał i grzeczne zaproszenie, aby kiedy dom jego w górach nawiedził, był już pewny, że między nim a JPanem Szamborem istnieje święte przymierze.

Na gruncie takiego stosunku budował teraz wszystkie nadzieje swoje. A nadzieje te były tem większe, im niższym od niego wyda-

„Tak samo jak przed laty
Śpiewami brzmi kaplica;
I czuje znane kwiaty
I znane widzi lica.“

Jednakże „smutno mu jak na pogrzebie,“ bo nie ma już niebianki z którą chodził wśród nocnej ciszy krętemi ścieżkami, i która później „modliła się w zadumie!“....

Całą tę epopeję wyśpiewał nam p. *Tomasz Zawadyński* w przedostatnim N-rze *Bluszczu*.

Gazeta Warszawska z d. 3 Czerwca r. b. w korespondencyi z Rzymu, zawiera ustęp wielce ciekawy pod względem jednostronności wyrażonych w nim poglądów. Korespondent szydzi sobie ze stronników nowego prawa wojennego włoskiego, którzy rok służby dla kleryków, między 19 a 20 rokiem życia, uważają, za bardzo korzystny dla tego iż zetknięcie się ze światem dozwoli bądź wyrobić się w tej młodzieży samodzielnemu, istotnemu powołaniu na duchownego, — bądź też usunie pozorne aspiracyje tak drogo nieraz w późniejszym wieku okupywane, a często bodaj wiodące do większych zbrodni, jak wczesne opuszczenie kościoła. Ta otóż praktyka światowa, poczytywana przez niektórych włochów, za warunek dobrego później kapłaństwa, wyłącznego oddania się Bogu i sprawom ducha, oburza korespondenta Gazety Warszawskiej i sprowadza zabawną uwagę. Mniema bowiem pan korespondent, że takie zetknięcie się późniejszych idealistów ze światem, przypomina *pozytywistyczne* teoryje, które domagają się obznajomienia niewinnych panienek z obowiązkami żon i matek...

Niegodne to ośmieszanie faktu, który zasadza się na tej rozumnej zasadzie pedagogii społecznej, iż kobieta, nie rozumiejąca i niewychowana w celach wysokiego swego powołania matki i nauczycielki, jest poprostu niczem. Hoffmanowej o pozytywizm nikt zapewne nieposądzi, boć nawet Przegląd Tygodniowy, gromami oburzenia za konserwatyzm i zacofanie obrzucił autorkę Krystyny. Otóż ta właśnie autorka powiada, że Krystyna, lubo dziewczę młode, wiedziało o małżeństwie, o dzieciach, co inni radziby ukryć przed dorastającemi córkami. Bo jej wychowanie było poważne, z rzetelnego stanowiska przedstawiało miłość i małżeństwo; niebyła romansową, choć wiedziała że serce niewieście stworzone do kochania, bo wpojono w nią przekonanie, iż miłość sama, jest niebezpieczną i tylko w małżeństwie nie jest wstydem, występkiem, nieszczęściem; a nadto wiedziała, że małżeństwo jest pasmem trudnych obowiązków i wielkich cierpień.

Dalej w tej „Krystynie“ czytamy (edyc: 1841 r. I str. 128 i nast.) aczkolwiek powieść ta wystawia ideał panny starej, jednak że „ideałem niewiasty była i będzie żona i matka,“ do czego zaiste przygotowania brak w szesnastoletniej dziewczynie, owych i naszych czasów (str. 130), w dziewczynie, która w małżeństwie widzi wyprawę, wesele, ślub, kocz czterokonny, tytuł pani, czepeczek i t. d. słowem stronę pozorów, zapominając o istotnych warunkach małżeństwa.

Sam fakt, że dziewczęta małe biorą się do powijania i niańczenia lalek, okazuje, że przyrodzona skłonność i dola kobiety rzetelniej się objawia w tem instynktowem zajęciu dziecka,

wał się rywal. Gdyby przynajmniej miał przed sobą jakiego bogacza lub człowieka wyższej sfery — ale bezpłatny aplikant sądowy wyglądał koło niego jak komar!

Tak myślał Floryjan, wyjeżdżając po złote runo, i gniewało go tylko, że z prostej drogi do mety musi teraz zboczyć o jakie mil kilkanaście. Ależ do jakiej ofiary nie był on zdolnym po tem wyznaniu przy ostrokole? Chętnie więc podjął się tej ofiary i z dobrą otuchą rozparł się na poduszkach karetki pocztowej obok węgierskiego żyda, który po zboże do ziemi polskiej przyjechał.

Na nieszczęście Floryjana żyd był gadatliwy i rozpoczął z nim długą rozmowę o handlu zbożowym, z czego okazało się, że ten handel czasem dobrze idzie, ale czasem najpewniejsze wyrachowanie zawodzi.

Rozmowa taka nie wpłynęła dobrze na usposobienie Floryjana. Trąciła w jego duszy milczącą dotąd strunę, która zazwyczaj odzywa się przy bólach zawodu. Jeżeli handel zbożowy — myślał sobie teraz Floryjan, może czasem zawieść tak wyrachowanego człowieka, jakim jest ów żyd węgierski, czy nie może to samo stać się z marzeniami naszemi, któremi serce bez rachunku upajamy?...

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy)

Borysów pamiętny odwrotem wojsk francuskich w grudniu 1812 r. i klęską jaką Francuzi ponieśli na Berezynie, z której i do dziś dnia wydobywają rozmaite sprzęty i broń po Francuzach pozostałe.

Ludność Borysowa wynosiła w r. 1870 około 6000. Domów przeszło 600. W posiadaniu miasta 4609 dziesięcin ziemi.

Niedaleko od Borysowa i o $6\frac{1}{2}$ mil od Mińska leży *Łohojsk* nad *Hajną*, wśród rozległych puszcz, w których tysiące kurhanów mogilnych, tak jak w okolicy mnóstwo horodyszcz i zamków, których ciekawy opis hr. Konstantego Tyszkiewicza zamieściliśmy przed laty w Tece Wileńskiej. Jest to jedna z najdawniejszych osad słowiańskich, bo chociaż sam Łohojsk założony w XII wieku, jak o tem piszą latopisy ruskie, grodziska i mogiły w nadzwyczajnej ilości świadczą o dawności tych miejsc, z czasów przedhistorycznych. Łohojsk należał do księstwa Połockiego i jeszcze na początku XII wieku był narażony na napady w czasie rozruchów domowych pomiędzy kniaziami kijowskimi i połockimi. Tatarzy również byli w Łohojsku, zamek zdobyli, włość zrabowali i spalili, a dzieci ks. Siemiona Aleksandrowicza Czartoryskiego w jasyr zabrali. Było to w r. 1505. Z córką tego Siemiona ożenił się Wasil Tyszka, od którego pochodzą Tyszkiewiczowie, hrabiowie na Łohojsku. Od tego czasu Łohojszczyzna zawierająca obszerne włości, dużo ziemi i lasów, aż do tego czasu w rękach Tyszkiewiczów pozostaje.

Ocalały dotąd wały zamku i fossa. Są tu 4 cerkwie bardzo starożytne. W jednej z nich groby Tyszkiewiczów prawosławnych ze słowiańskimi napisami. Późniejsze groby Tyszkiewiczów katolików są w kościele farnym założonym w r. 1609 przez Aleksandra Tyszkiewicza. W tych grobach spoczął Pius Tyszkiewicz ojciec Konstantego i Eustachego, a po nim i Konstanty (1 lipca 1868 r.). Eustachy leży w Wilnie na Rosie.

Eustachy Tyszkiewicz pierwszy w Łohojszczyźnie, a pierwszy i na Litwie i Rusi *pierwszy* rozkopał kurhan. *) Łohojszczyzna najwięcej wzbogaciła zbiory muzeum Wileńskiego, przez hr. Eustachego założonego. Później hr. Konstanty przez lat wiele badał te okolice i skarby prawdziwe nagromadził, których część przeszła do Wilna, a większa część pozostaje w Łohojsku tworząc wspaniałe muzeum. Brałem i ja udział w tych poszukiwaniach, a wspólnie przeszło 200 kurhanów rozkopaliśmy. Zabytki z okolic Łohojska z ziemi z mogił wydobyte, lub na powierzchni prawie znajdowane (w fossach, wałach, w kotlinach grodzisk i t. d.) zawierają cenne okazy z epok kamienia szlifowanego, bronzowej i żelaznej. Z przedmiotów kamiennych oprócz znacznej bardzo ilości młotów, siekier, toporków małych, klinów (największy młot na Litwie i Rusi tu znaleziony) i t. d., na szczególną w nauce uwagę zasługuje przyrząd kamienny do szlifowania broni i narzędzi, jak niemniej narzędzia do wiercenia otworów, oraz młoty z niedokończonemi wyżłobieniami. Bronzy tu przepyszne i obfite. Do nadzwyczajnych osobliwości należą znalezione tu szalki maluczkie z całym przyrządem do ważenia. Takich szalek dotąd trzy tylko egzemplarze znaleziono (jeden przez Kruzego drugi przez Saweljewa). W końcu jak wszędzie paciorki, garnki z mogił i t. d. Zbiory Łohojskie, z dodaniem tych, które do Wilna dostały się, na tysiące liczyć można.

Ale oprócz zabytków z epok pierwotnych hr. Konstanty troszczył się i o zbiory z nowszych epok. Założył Biblijotekę nieliczną, ale szacowną i bogatą w rzadkości biblijograficzne. Nagromadził niemało ciekawych rękopismów, oraz kollekcyją rycin i blach miedzianych dawnych rytowników, które wydał z opisem.

Nie mało tu rzeczy pamiątkowych i tak nazywanych osobliwości. Broń palna i ręczna bogata i piękna. Dużo pamiątkowych rzeczy przeszło do Łohojska od referendarzowej Tyszkiewiczowej, synowicy Stanisława Augusta. Są tu ciekawe chorągwie dawne rozmaite, laski bogate marszałkowskie, buławy hetmańskie buzdygany, pasy, kusze słoniową kością wysadzane, klucze złote szambelańskie, kokardy, zegary, tabakierki, medalijony, klamry i t. d. i t. d. Tylko zbiory Wilanowskie lub gabinetu Jagiellońskiego wyrównać mogą zbiorom Łohojskim. Nic podobnego nigdzie już nie ma.

*) Czarnocki chociaż w Mińszczyźnie urodzony krótko tu bawił i nie badał kurhanów.

---

niż w tak zwanej jego edukacyi. Panna umie grać tyle, że jej muzyka staje się katuszą dla słuchających, próżnym sprzętem i fałszywą ozdobą póki nie wyjdzie za mąż, zmarnowaniem czasu i pieniędzy, gdyż nieposiada muzyki w stopniu *rzemiosła*, jak mówiła Hoffmanowa. Nie posiada muzyki w stopniu rzemiosła, to znaczy że niemoże udzielać onej swym lub obcym dzieciom, nie umie nawet dalej sama się kształcić, choćby rozrywkę mieć piękną.... Toż samo rzec można o rysunku, francuzczyznie i t. d.

W każdym razie sądzimy, że mniej zgrzeszyłby pedagog męzki lub żeński kształcąc dziewczątka na przyszłe kierowniczki rodziny, aniżeli gdyby pozwalał na czytanie takiego *życia piekielnego* Gaborieau, i innych jaskrawych opisów stosunków nienormalnych między obu płciami, co się przecież często praktykuje.

Epopeję teatrzyków ogródkowych zaczniemy od *Tivoli*, gdzie usłała sobie gniazdo trupa p. *Grabińskiego*. Dotychczas szan. Dyrektor zaprodukował nam różnorodne utwory dramatyczne, wykazując zarazem różnorodne siły artystyczne. Główną wadą, wspólną wszystkim truppom prowincyjonalnym, jest uniwersalność, której hołdować muszą wybitniejsze szczególniej zdolności. Z zadziwieniem oglądać nieraz musimy dramatycznego bohatera przyobleczonego później w szaty najniższego komizmu. Systemat taki w części usprawiedliwia się wprawdzie brakiem sił odpowiednich, lecz wpływa ujemnie na rozwój zdolności artystycznych. A o to przeważnie starać się winni p. Dyrektorzy trup prowincyjonalnych, które stanowią często pierwszą szkołę dla młodych adeptów Melpomeny.

Z sił artystycznych odznacza się szczególniej personal żeński. Znana nam już z ubiegłych lat *P. Grabińska* jest prawdziwą artystką, poważnie zapatrującą się na sztukę. Szczególniej podziwialiśmy inteligentną jej grę w roli ekscentyczno-egzaltowanej hrabiny w komedyi J. N. Kamińskiego p. t. „Staroświecczyzna i Postęp czasu.“ Stworzyła tu aktorka samodzielnie postać żywą, barwną i pełną prawdziwej werwy.

Świetną przyszłość rokujemy młodziutkiej artystce p. *Laskowskiej*, której gra w roli Pawłowej w „Marcowym Kawalerze“ p. Blizińskiego nic nie pozostawiała do życzenia.

Nad rozwojem prawdziwego talentu tej artystki winien z całą pieczołowitością czuwać szan. Dyrektor, i nie powierzać zdolnej artystce tak błahych ról, jak rola huzara w „Lekkiej kawaleryi.“ Przyzwyczaja to do lekkiego traktowania sztuki i hołdowania nie zbyt podniosłym efektom.

Zasługuje też na uwagę sympatyczna gra p. *Solskiej*, ale tylko w rolach dramatycznych. Sara w „Salomonie“ znalazła w tej artystce godną przedstawicielkę. Role charakterystyczne nie nadają się widocznie do jej talentu, gdyż rażą zbytniem szarżowaniem i jednostajnością wykonania.

Fama wysławia też p. *Mirecką*, lecz dotychczas nie mieliśmy przyjemności widzieć jej na scenie, i dla tego później nieco wypowiemy zdanie swoje o tej artystce.

Z penersonalu męzkiego prócz Dyrektora, któremu obok prawdziwego artyzmu gry, za-

Dwie blachy miedziane 2 i pół łokcie długie, bardzo ciekawe. Na nich rytowany tryumf Jana III po wojnie Chocimskiej; były one rznięte za rozkazem Andrzeja Kazimierza Wacława Kuropatnickiego, kanonika sandomierskiego, w uniwersytecie pragskim, przez jezuitę Kaspra Knittel *). Jan III przedstawiony na koniu z laurem na głowie, w zbroi, purpurą okryty, z mieczem i buławą w ręku, nad głową jego orzeł zdala koronę unosi. Król wyjeżdża z pod bramy tryumfalnej, na sklepieniu której herby Sobieskich, Korony i Litwy, za bramą widać w oddaleniu świątynię, a przed nią postacie w królewskich strojach. Olbrzym wsparty prawem ramieniem na wielkiej jak sam maczudze z jabłkiem w lewem ręku, bramy strzeże. Konia za munsztuk wiedzie rycerz powietrzny, przed sobą ma królewicza, w prawym ręku trzyma medal, w lewej kopiję, za drzewco której trzymają się Prusacy, Mazury, Litwini i t. d. Nad fortuną anieli w różnych postaciach w powietrzu trzymają rozmaite napisy, u góry zaś Opatrzność przyświeca temu tryumfowi, a przy niej w powietrzu św. Kazimierz na koniu, którego z laską w ręku anioł poprzedza w pielgrzymim stroju wskazując na idący orszak. Druga strona obrazu przedstawia coś okropnego: ręka z hetmańską buławą, ukazując się w obłoku, okrążona wstęgą z napisem: ,,Dextera Domini fecet vitutem"—biją pioruny, błyskawica przerzyna czarny horyzont, szatańskie siły z pazurami i ogonami i pół księżycem na głowie (Turcy), rażone piorunami uciekają w nieładzie. Blachy te przechowywały się w Nieświeżu, a po rabunku Francuzów w r. 1812 przeszły w ręce żydów, od nich zaś wydobyte przez hr. Konstantego Tyszkiewicza. Jest to tylko połowa tego wielkiego obrazu, druga przez żydów przetopiona w hamerni.

Drugie dwie blachy przedstawiają widok topograficzny obozu Jana III pod Żórawną, stanowisko wojsk stron obu w szykach bojowych. Rytowane przez Jana Rode królewskiego architekta. Innych blach miedzianych jest 187.

Z broni zasługują na uwagę klinga z wizerunkiem Batorego i datą 1580, kilka innych z czasów Batorowskich z jego wizerunkami, kordelas z *wilczkiem* 1414, szable tureckie, klingi arabskie, puginały egipskie, jatagany, kordelasy strzeleckie, strzelby z nakręconym zamkiem, ładownice pozłociste i t. d. i t. d. Niektóre w bogatej oprawie srebrnej, wyzłacanej, kamieniami sadzonej. Wreszcie zbroje, pancerze, szyszaki, rzędy na konie i t. d., bogactwo wielkie. Wszystko to utrzymane w największym porządku i zajmowało część znaczną pałacu ogromnego. Do wielkich rzadkości w dziale rękopismów należą Inwentarze Jakóba Łaszkowicza dworzanina i rewizora J. K. M. 1570, z rozkazu Zygmunta Augusta sporządzone, z zadziwiającą dokładnością opisujące dobra królewskie; także *Regestra Włoszczi J. Kro. Mczi* z r. 1570 przez tegoż Łaszkowicza sporządzone. *) Metryka różnych publicznych rzeczy spisana przez Chryzostoma Ostrowskiego 1619 r., o abdykacyi Jana Kazimierza, elekcyi Michała Korybuta i t. d. Dyaryusz podróży do Anglii 1780 r. ostatniego posła do Londynu Franciszka Bukatego. Nader ważna praca Twardowskiego rektora uniw. Wileń. zawierająca opis podróży z Pińska do Derezowic z ogólną uwagą o handlu i przemyśle na Polesiu. Bogaty zbiór autografów i korespondencyj królów i pierwszych rodzin litewskich. Łohojsk posiada kilkadziesiąt portretów familijnych Tyszkiewiczów na Łohojsku, zaczynając od Tymofieja hetmana kijowskiego, wojewody Wasila na *Łohojsku* i *Berdyczewie*, który pierwszy przeniósł się w strony Mińskie w r. 1514 i t. d.

Konstanty hr. Tyszkiewicz był nie tylko archeologiem, ale zawołanym gospodarzem— agronomem i ekonomistą. On to podniósł znakomicie Łohojszczyznę pod względem uprawy gruntów, podniósł sam Łohojsk, który za jego czasów wzrósł i wzmógł się, ludność się zwiększyła znacznie, przemysł i handel zakwitnął. Założył on tu bowiem jeszcze w r. 1837 fabrykę tkanin lnianych i bawełnianych, oraz mięszanych z lnu i bawełny. Wyrabiano rocznie do 1000000 łokci, kilkuset ludzi pracowało i dochody znaczne przynosiło. Fabryka jednak później upaść musiała, konkurencyi wytrzymać nie mogąc z zagranicznemi wyrobami, a szczególnie gdy granicę z Królewstwem Polskiem zniesiono. Może dla tego, że zbytkownie prowadzoną była bo przędzę bawełnianą sprowadzano aż z manchesterskich zakładów, a przewodnicy zagraniczni nie mało kosztowali. Pokazało się w końcu, że Tyszkiewicz głębszym był archeologiem, niż fabrykantem. Lepiej się działo czas jakiś z gisernią odlewów z surowcu, oraz z wyrobami najprostszych narzędzi rolniczych. Ale jako gospodarz-agronom. Tyszkiewicz był wzorowym i wiele zdziałał dobrego. On też założył w Łohojsku, bank pożyczkowy prawie wyłącznie dla miejskich mieszkańców co znacznie dopomogło do zwiększenia dobrobytu miasta. d. c. n.

*) Napis: ,, Philosophia universae in Celeberrima universitate Carolo Ferdinandae pragensi de feusa ab Andrea Casimiro Venceslao Kuropatnicki canonico Sandomir. praside P. Caspavo Knittel i Soc Jesu A. A. L. L. P. phil. D-r. ejusdemque in praefata universitate professore ordinario et publico ac seniore Anno 1682 mensae die horis post meridiem consvetes."

*) Kilka takich inwentarzy było w archiwum muzeum Wileńskiego. Podobno niektóre drukiem ogłoszone zostały w ostatnich latach.

Listy z praktyki nauczycielskiej.

(dokończenie)

Mimo całą logiczność systematu p. X. razi mię w nim dziwna nierównowaga między uprawianiem talentów i języków obcych—a nauką właściwą. Słysząc jej rozumowania pełne subtelności, oparte na doświadczeniu, muszę

rzucimy pewne zaniedbanie jakby lekceważenie obranej roli, na czem traci szczególniej gra twarzy i werwa, zasługują na wzmiankę p. Puchniewski, Swaryczewski, Sikorski i Kwieciński.

P. *Puchniewski* celuje tylko w rolach czysto komicznych. Do innych brak mu należytych warunków zewnętrznych. W każdym razie jest to artysta inteligentny i wielkie na przyszłość rokujący nadzieje.

P. *Swaryczewski* w rolach dramatycznych walczy jak może z trudnościami technicznemi, a szczególniej z niewyrobioną jeszcze dykcyją. Zwróćimy mu również uwagę, że nielitościwe krzywienie się nie jest zbyt estetycznym objawem silnej boleści. Jednakże artysta ten mógłby się wyrobić w właściwym mu kierunku, gdyby nie narzucana mu uniwersalność, łącząca bratnim węzłem najwyższy nastrój dramatyczny z najniższą nutą komizmu.

P. *Sikorski* odznacza się umiejętnością charakterystyki — lecz pod innymi względami, w różnych kreacyjach zbyt jednostajnym się przedstawia.

P. *Kwieciński* jestto młodziutki artysta, produkujący się w rolach charakterystyczno-komicznych. Nie można mu rzeczywiście odmówić zdolności, które są jednakże przeważnie komiczne, przy tem jeszcze niewyrobione. Dla tego w rolach charakterystycznych widzimy zbytnią szarżę i niewłaściwe wydobywanie komicznych efektów. W każdym razie usilna praca i naśladowanie wzorów mogą doprowadzić tego artystę do pozbycia się niewłaściwej maniery i należytego wyrobienia się w pewnym zakresie.

Z innych artystów p. *Benda* jest nieznośnym rutynistą. Brak mu przytem poprawnej dykcyi.

P. *Urbański* jest najzupełniejszym aplikantem w biurze Melpomeny, i to bardzo początkującym aplikantem. Czyż p. Grabiński nie mógł sobie wynaleść lepszego amanta!?.... P. Urbański powinien pamiętać, że pragnąc czytać, trzeba wprzód znać litery, pragnąc grać role, trzeba wprzódy nauczyć się mówić jasno i wyraźnie. Wogóle gra tego artysty nie wytrzymuje najlżejszej krytyki.

Z sił wokalnych zasługuje na uwagę pani *Wierzbicka*, która posiada miły dosyć sopranowy głosik.

Wszędzie prawie na prowincyi, rozpowszechniły się przedstawienia amatorskie, a grosz stąd zebrany składa obfitą daninę na ołtarzu dobra ogólnego. Jakkolwiek z tego względu przyznać musimy tej teatromanii myśl szlachetną i zacną, stanowi ona jednakże rodzaj zbyt depansownej pod każdym względem rozrywki, zbyt odrywa od zajęć powszednich.

Czyżby nie można było użyć, do tego filantropijnego celu innego środka, również dobroczynnego w skutkach, a bardziej utylitarnego.

W Kaliszu dnia 25 maja (6 czerwca), dane było przedstawienie amatorskie na korzyść katolickiej ochronki. Składały je komedyje: „Broń Niewieścia, Okrężne, Chcesz się żenić przyjacielu, to się żeń!"

W Niwie (N. 11) czytamy co następuje:
Historyja świadczy, że były kiedyś między nami wielkie uczucia, lecz teraźniejszość zda-

chcąc nie chcąc przyznawać im słuszność, lecz jakże pogodzić się z faktem: że jedna godzina prawie tylko na dzień zostaje do nauk po za obrębem sztuk pięknych i obcych języków? Gdzież tu pomieścić nauczanie zgodne z potrzebami czasu, kształcenie umysłu i serca razem z podawaniem użytecznych, bogacących ducha wiadomości, budzenie zamiłowania do rzeczy poważnych, kierowanie umysłu na dążności rzeczywiste, życiowe, społeczne?

Pani X. jest osobą wykształconą, trudno mi uwierzyć aby mogła niepojmować prawdziwych celów wychowania. Wmawiam w siebie że ona je praktyczniej pojmuje, pragnie przeprowadzić stosownie do wymagań wyższych sfer towarzyskich. Starałam się wniknąć w myśl systematu p. X bez uprzedzeń, wierząc że osoba tak światła i doświadczona lepiej odemnie rozumie potrzeby swych dzieci. Słowa jej są przekonywające. — „Wielkim błędem w wychowaniu" mówiła mi niedawno p. X. „jest skłonność uczącego do chwytania się nowostek. Niech tam sobie utopiści praktykują dużo hałasu robiące urojenia po ochronach, ogródkach i t. p. Ja nie chcę mych córek kierować na nowatorki, trzymać się chcę *systematu* który nie powstał w głowie marzyciela lecz wytworzył się przez wieki całe, który wydał całe pokolenia kobiet naszych, który uznaję za dobry bom sama była nim prowadzona. Wychowanie zbyt ważną jest rzeczą by je można powierzyć lada nowej metodzie. Wiekami tylko mogą tu zachodzić pewne zmiany, wzrastać i uświęcać się drogą tradycyi. Lekkie tylko umysły, niepojmujące że wychowanie powinno czynić kobietę zgodną ze sferą jej właściwą—mogą chwytać się systemacików wczoraj powstałych."

Słowa takie dziwnie przykre uczucia sprawiają gdy po nich zwracam się do praktyki, bo w niej co raz widoczniej spostrzegam martwą rutynę i zaczynam się obawiać czy taki stan edukacyi nie rozdziela nauki i kształcenia duszy na dwa nie łączące się prądy, z których jeden jałowy płynie gdzieś na suche piaski, drugi uchodzi w morze próżności.

Nauka tu ujęta w ścisły porządek godzin, czysto oficyjalnym sposobem idzie z dnia na dzień, nie budząc przejęcia ani w uczących, ani nauczających, nie wiąże się w całość, nie interesuje nikogo—jako suchy obowiązek powierzchowny nie mający celu sam w sobie. Lekcyje są jakąś operacyją powtarzającą się codziennie, nudną, mozolną. Nałóg nią kieruje, forma jest w niej wszystkiem. Tłómaczę sobie to przykre spostrzeżenie tem że w tak rozległym planie wychowania, gdzie główny nacisk kładzie się na przedmioty nie budzące zajęcia, jakiemi są obce języki, nieumiano ożywić całości, przez skierowanie umysłów na główny cel kształcenia, że niedołężnie traktowano przedmioty około których inne grupować się powinny, dla tego postanowiłam dołożyć wszelkich starań aby powierzone mi *polskie nauki*, uczynić duszą całej edukacyi.

Od dwóch tygodni ciągnę już naukę, ale tylko *ciągnę*. Otaczają mię trudności ciężkie. Pierwszą, jest krótkość czasu. Cóż można zrobić przez godzinę lub w dwóch godzinach nawet jeśli na nie przypada: historyja, geografija, język polski, nauki przyrodzone i t. p.? Panienka przychodzi *wydawać* zadaną w przeddzień lekcyją. Wydaje licho, powierzchownie, rada z każdej okoliczności aby skierować rozmowę na jaką potoczną sprawę. Staram się obudzić zajęcie, rozwinąć wykład, naukę ubarwić.

— Mama słusznie chwali panią za wzorowe dawanie lekcyj, odzywa się uczennica gdy najpewniejszą jestem żem ją zaciekawiła wykładem swoim. Ale to takie nudne. A wie pani że to już cztery minuty po godzinie?

Kiedy indziej widzę źle tajone roztargnienie i niechęć, a gdy się staram o lepszy bardziej zajmujący wykład:

— Wiem, wiem! przerywa mi panienka, niech się pani nie męczy. Już ja się nauczę tego, przecież mam książkę.

Powiedz mi co można zrobić przy takiem usposobieniu uczennic do nauki, gdy w godzinie jednej trzeba traktować po dwa przedmioty przynajmniej, przedmioty z których żaden niecierpi suchego, książkowego wyuczania się?

Pani X. cieszy się moją gorliwością i pozostawia mi zupełną swobodę w zakresie raz przyjętego programu, nie wglądając już w moje czynności.

— Czemuż tak nie mogę postępować z francuską, mówi mi nie raz, tam ciągle muszę się mieć na baczności czy zamiast nauki nie idzie rozmowa o wąsach p. N. lub o wypadkach zdarzanych w Paryżu.

Pani X. zbyt zajęta jest sobą, domem, gośćmi by mogła rzeczywiście zajmować się dziećmi. To na pozór daje mi pole do szerszego na nie wpływu. Tak nie jest jednakże. Stosunek mój do nich dotąd przynajmniej jest czysto formalny. Panienki po za lekcyjami w pewnych godzinach tylko są obowiązkowo pod mojem okiem, zresztą zostają z francuską lub niemką dla konwersacyi, bezpośredni zaś wpływ swój wywiera na nie tylko przyjęty raz i niezmienny tryb postępowania, w którym panuje chłód dziwnie ubezwładniający. Panuje tu formalistyka w stosunkach rodzinnych, odbijająca się rażąco w charakterze dziewcząt i oschłym stosunku między rodzeństwem.

Względem nauczycielek panienki zachowują się czysto oficyjalnie. Mimo całą grzeczność ich i życzliwość powierzchowną, spostrzegasz na każdym kroku że tu konwenans pokrywa czysto materyjalistyczny pogląd na stosunek między uczącym a nauczanym i przekonanie wewnętrzne o wyższości własnej. Wartość nauczycielki, jej zachowanie się, jej intencyje, oceniają uczennice jedynie jako płatną obowiązkową robotę. Nie łatwy jest wpływ na dzieci w których już nie ma prostej szczerości, w których nikt nie budzi zaufania. Starsza uczennica kokieteryjnie postępuje ze mną, gdy chcę do niej zbliżyć się jak siostra, odkrywam płytkość pojęć i osłodzony egoizm, duszę pustą i chłodną. Młodsza, dziecinna jeszcze bardzo, a jednak razi mię w niej szczególna skłonność do ironii i drobiazgowa uszczypliwość.

---

je się wykazywać, że uczucia te zamarły, a dziś zostały po nich tylko wyrazy, niby kamienie nagrobne, któremi natabene posługujemy się przy wznoszeniu jakichś tandeciarskich budowli. Ależ panowie to jest skandal! Ów tak często powtarzany przez nasz obowiązek obywatelski nie polega na całorocznem rozprawianiu o jego wartości, ale na jednorazowem np. kupnie sikawek, lub utworzeniu ochotniczej straży ogniowej. To co nazywamy odwagą i energiją, nie wymaga po nas wymachywania rękoma, marszczenia brwi lub noszenia czapki na bakier! ale raczej tego, abyśmy, gdy potrzeba, wydobywali z ognia kufer bliźniemu naszemu.

Przepytajcie się między ludźmi, kto to u nas zakłada owe ochotnicze straże, a dowiecie się, że jakiś pan Schultz, Müller, Berliner i t. d., co pokazuje, że ci panowie, często gęsto nieznający „*nadwiślańskiego*" języka, są u nas najlepszymi obywatelami w danej okolicy i w danej okoliczności.

A może chcecie wiedzieć, kto podczas pożaru w Lublinie, ze szlachecką fanaberyją lazł w gorejącą okowitę? To najzwyczajniejsi kozacy.

A może radzibyście poznać nazwisko bohatera, który w czasie pożaru w Mławie skoczył w ogień i wydobył stamtąd dziecko? To niejaki Smietannikow, żołnierz niedawno osztrafowany za nadużycie, który zapewne nie przeczytał ani jednego podręcznika o odwadze i poświęceniu. A gdzieście wy byli i coście robili podczas owej potrzeby?

Staliście razem z żydkami na boku, płacząc nad swoją chudobą, pocieszając strapionych, lub przyklaskując tym, którzy ratują — wszystko naturalnie w przyzwoitej odległości od ognia. Cóż wy na to szanowni czytelnicy?...

Od Zielonych Świątek, prawie ciągle odzywają się po pismach peryjodycznych głosy, w sprawie odnowienia jeżeli nie wzniesienia nowego grobowca dla Staszyca. Ognisko Domowe (N. 36) w szlachetnem oburzeniu dotknęło z tej racyi, ostrzej trochę niżeli czyni to zwykle, wad naszego społeczeństwa. Między innemi powiada, że zapis dobroczynny wspomnianego „*obywatela*" przeleżawszy pół wieku w szafach archiwalnych, poruszony dla oczyszczenia go z pyłu i kurzu, dał powód do pogawędki o nim czas jakiś, i poszedł znowu na jaki wiekowy może odpoczynek. Apatyja ta tem jest boleśniejszą, że nawet miejsce wiecznego spoczynku człowieka, który i całe mienie poświęcił dla uszczęśliwienia współbraci i całe życie niósł im swe bezinteresowne usługi czynem i piórem, nie zostało uszanowanem i nieubłagana dłoń czasu coraz wyraźniejsze piętnuje na niem ślady zniszczenia i zmiany. Warszawianie sypiąc pieniądze cyrkowym klownom (Clown), różnobarwnym kuglarzom, przedstawicielkom arcydzieł Offenbacha et consortes, do takiego stopnia wypróżnili swe suchotnicze nosigrosze, iż zaledwie zdołali złożyć dotąd *półtrzecia rubla*, na zreperowanie zapadłego grobu Staszyca.

Przyznajemy się do chłodniejszego nieco poglądu na tę kwestyję. Bo co to proszę państwa — znaczy grób dla nieboszczyka? Już i tak śladu nawet z jego ciała w nim nie ma, a przecież i żyjący potrzebują rozrywki, po

Przykro mi nieraz słuchać jak pani X w wolnych od zajęć chwilach pociesza się postępami swych córek, z zupełnem zadowoleniem rozprawia o swym *systemacie pedagogicznym* słucha pochlebstw francuski, lub zarzuca mi zbytek gorliwości i płonne obawy. Zaczynam pojmować: nasze ideały wychowania różnią się. Ona pragnie uczynić z córek świetne damy stworzone do wyższego towarzystwa, przeznaczone do życia w salonie, ja — istoty samodzielne umiejące żyć w świecie rzeczywistym i w społeczeństwie. Zaczynam poznawać że praca po za systemem pani X jest mojem polem, pojmuję trudność położenia, lecz nie zrażam się niczem. Będę pracować tak jak mi nakazuje sumienie.

W przyszłym liście spodziewam się dać ci coś więcej już nad nużący obrazek błędów wychowania i bezładne wrażenia zawodów doznawanych przezemnie. Dopomóż mi, udziel swoich uwag i rad które tobie zdala patrzącej jaśniej się przedstawiają niż mnie pod natłokiem wrażeń!

Zapomniałam nadmienić ci, że mam jeszcze uczennicę którą samam sobie wyprosiła. Jest to pięcio-letnia Kazia. Umie mówić i czytać po francusku i po niemiecku, (a właściwie żadnym językiem nie mówi), wyuczono ją kilkanaście bajeczek w tych językach, nazwisk dni, miesięcy, części świata, stolic Europejskich, tabliczkę mnożenia większą część katechizmu i już sama niewiem czego ją nie nauczono. Dziwnie sztywne i nierozgarnięte dziecko, kłamie przytem i ma różne garderobiane przebiegi. Staram się wejść z nią w zażyłość rozmawiać z nią o różnych rzeczach a dotąd jeszcze nie mogę sobie wytłumaczyć jej narowów, uporu, złości bez przyczyny i niepojętych kaprysów. Oj te systemata!

Na tym wykrzykniku zakończam przesyłając i t. d.

Twoja
Jadwiga.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

IV.

Złamanie kości.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

O sile leczniczych spraw przyrody najdotykalniej można się przekonać przy uszkodzeniach zewnętrznych. Dla przykładu rozbierzemy tutaj sprawę gojenia się złamanych kości.

Ażeby jednak sprawę tę uczynić łatwiejszą do pojęcia, powiemy wprzódy kilka słów o budowie samej kości i przyległych jej częściach. Te ostatnie składają się: z mięśni i tkanki łącznej. Wnętrze kości przedstawia jamy wypełnione szpikiem, zewnętrzna zaś jej strona pokryta jest włóknistą, błoniastą powłoką, noszącą nazwę okostnej. Każda z wymienionych części zawiera w sobie większą lub mniejszą ilość naczyń włoskowatych.

Samo przez się rozumieć należy, że przy złamaniu kości, jednocześnie z okostną ulega zazwyczaj rozerwaniu większa lub mniejsza część sąsiednich mięśni i więzów; nadto, z rozerwanych naczyń włoskowatych znajdujących się w częściach uszkodzonych, oraz z samej kości złamanej i jej szpiku — wypływa większa lub mniejsza ilość krwi, która gromadzi się tak w miejscu złamania, jako też pomiędzy odłamkami kości i w jamie szpik zawierającej; krew ta, w części pozostaje płynną, reszta zaś daleko znaczniejsza tworzy skrzep, który znów stopniowo bywa wcześniej lub później wessany. Wkrótce po owem wylaniu się krwi, pokazuje się, wskutek podrażnienia i mocniejszego napływu krwi do miejscowości przyległej złamaniu, płynny wysiąk z szybko krzepnących, składowych części krwi. Rzeczony wysiąk zjawia się przedewszystkiem zewnątrz, w częściach miękkich, naokoło miejsca złamania oraz na nabrzmiałej okostnej, i tworzy tutaj gęstą, tłuszczową masę, która przylegając ściśle do okostnej, obejmuje odłamki kości na wzór futerału lub bandaża i łączy je pomiędzy sobą.

Wzmiankowany futerał (tak zwane zewnętrzne, czasowe spojenie), z początku miękki, powoli twardnieje, przeistacza się w chrząstkę i wreszcie, poczęści w kość. Wewnątrz owego futerału tworzy się pomiędzy brzegami kości, szczególniej ze szpiku, drugi wysiąk (wewnętrzne, późniejsze czyli ostateczne spojenie), który natychmiast twardnieje i ściśle łączy pooddzielane odłamki kości. Gdy już kość uszkodzona, przy pomocy opisanych dopiero co spojeń, nabierze dostatecznej mocy, wtedy ginie zwolna nadmiar materyi łącznej, jeśli ta wydzieliła się w zbyt obfitej ilości. Takim sposobem, kość odzyskuje znowu kształt swój przyrodzony; nie mniej, wewnętrzna jama kości, zawierająca szpik, wraca również do pierwiastkowego swego stanu.

Kiedy lecznicza ta sprawa pozostawioną jest przyrodzonemu jej biegowi, nie doznając żadnej przeszkody, to wyzdrowienie następuje stosunkowo dość szybko, mianowicie: u osoby dorosłej (nawet u starca), złamana kość biodrowa goi się w ciągu 10 tygodni, kość ramieniowa w 5 tygodni, kość goleniowa (piszczel) w 8 tygodni, przedramię lub żebro w trzy. Samo z siebie jednak wynika, że mnóstwo okoliczności, wpływających na ogólny stan ustroju, lub tylko na część uszkodzoną, może przedłużyć sprawę wyzdrowienia. U dzieci, złamanie kości leczy się daleko prędzej, niż u osób dorosłych, to jest, w terminach prawie o połowę krótszych, jak podane wyżej.

Udzielenie pierwszej pomocy przy złamaniu kości, wypada zazwyczaj na dolę osób, niewtajemniczonych w naukę medycyny, — i dla tego, uważamy za konieczne wskazać tu zasady, według których należy postępować w podobnym wypadku, gdyż nie rzadko, doraźna ta pomoc, może przychylnie lub szkodliwie wpływać na dalszy bieg wyzdrowienia. Następujące zjawiska pozwalają przypuszczać złamanie kości: uczucie mocnego bólu w miejscu złamania, niezdolność władania uszkodzonym członkiem, nienaturalna ruchomość i

---

ciężkich walkach i znojach, by za szybko z żyjących trupów w prawdziwe się niezmienili.

Wreszcie fakt następny, autentyczny, tłomaczy obojętność dla Staszycowej pamiątki, w tej warstwie publiki, która niby postępowa, niby licząca się do *ésprit-forts*, *robi* wszędzie paradę ze swego *liberalizmu!*

Było to w pierwszych chwilach po wyjściu *4 groszowej* broszurki Promyka o Staszycu; w pewnej księgarni, w której nadzwyczaj się szybko setka pierwsza i druga rozchodziła. Nadchodzi postępowiec. Patrz Pan powiada księgarz, tylko cztery grosze, a dowiesz się Pan o wielkim człowieku!

Nieszczęście mieć chciało, że na pierwszej stronicy jest wizerunek Staszyca.

„Co ja tam będę o jakimś *księdzu* czytał,“ oburknął się gorący zwolennik *postępu*, który snać wyznaje zasadę „suknia robi człowieka.“

Tak rzeczywiście, u nas forma martwa zdaje się być wszystkiem, pozory zastępują treść. Postępowość wyraża się nie wierszem Krasickiego:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty

ale aroganckiem rzucaniem się na to, cośmy równie bezmyślnie, mieszając treść z formą, uwielbiali, jak teraz tem pomiatamy, ot *tak sobie*, dla tego nieraz, ale kto to wie dla czego. Pozwolicie czytelnicy, uilustrować tę uwagę faktem prawdziwym, który daje taką miarę umysłowego zastoju jednostek, a może i warstw pewnych jak powyższy o niedoszłym nabywcy broszury Promyka.

Było to na wsi. Zebrało się kilku szlachty, kilku księży—rozmowa się wtoczyła na jakieś nieprzyjemności, jakie kiedyś z powodu dziesięcin czynił był jakiś proboszcz jednemu z obecnych kolatorów. W wybuchu oburzenia, które wykryło całą nicość religijną człowieka tego, wykrzyknął obrażony: „jak mi jeszcze będziesz dokuczał, porzucę katolicyzm!“

Powiecie czytelnicy, że to za jaskrawa głupota — przyznajemy, ale ona stanowi pendant do wizerunku człowieka, który nie chciał wydać czterech groszy *przez postępowość*, bo Staszyc był ubrany w strój księży. I ów renagat mięszający dziesięcinę, i nietakt czy chciwość księżą z religiją byłby za postępowego miany!

Są w miastach i na wsi, między pseudo-inteligencyją warszawską i zacofaniem mazurów wioskowych takie indywidua! Nie wiąże się to ze stanem miejskim lub szlacheckim, ale ze stanem umysłu i serca. Z pobielanego grobowca cóż może wyjść nad zgniliznę i zaduch?

Zwykłym trybem naszych wielkości, Michał Girtwojn nasz rodak zbiera we Francyi za swą monografiję o pszczołach pochwały od specyjalistów tego rodzaju; jak np. *horsligne, oeuvre monumentale*, a u nas, zostałby co najwyżej pasiecznikiem, zmarniałby jak ów chłop nasz, co zegar sam wyrobił, lub malarz samorodny w Węgrzech, którego za fałszerstwo skazano do więzienia, gdy wypadało go odesłać do akademii malarskiej.

Przegląd swiepietniczy (Opiculteur) porównywa Girtwojna dzieło o pszczole z monografiją Strausa Durkheim o chrabąszczach. Prof. Hamet, specyjalista w pszczolnictwie paryskiem, chlubi się znajomością z panem G.

zmiana kształtu złamanej kości (która okazuje się już to wywichniętą, już też skróconą); nadto, dla chirurga służy także za wskazówkę w podobnych razach, szczególnego rodzaju chrupanie — krepitacyja, wskutek tarcia o siebie odłamków uszkodzonej kości.

Przeniesienie chorego posiada szczególną ważność przy złamaniu kości tułowia i nóg; przy złamaniu ręki, chory zazwyczaj sam bywa w stanie dać sobie radę podczas chodu lub jazdy, podtrzymując zdrową ręką uszkodzony członek w spokojnem i nieruchomem położeżeniu, tak długo, dopóki nałożoną nie zostanie nawiązka. Podtrzymywanie to można sobie ułatwić przez założenie naokoło szyi i złamanego członka—temblaka, zrobionego z ręcznika lub dużej trójkątnej chustki, końce których związane są na karku. Zważać przy tem potrzeba, aby temblak nie był zakrótki lub za długi, lecz podtrzymywał rękę w najdogodniejszem położeniu.

Często zdarza się, że i przy złamaniu nogi, osoba dotknięta tem kalectwem, zmuszoną jest sama, bez obcej pomocy, ujść jeszcze nie wielką przestrzeń. W takim razie powinna ona, siedząc na ziemi, posuwać się ostrożnie, (najlepiej w tył) za pomocą rąk oraz zdrowej, nogi, i pociągać za sobą złamany członek. Gdyby kto był przy tem obecny, to mógłby uszkodzoną część podpierać rękami, deseczką, chustką lub czemśkolwiek podobnem, lecz obok tego wypadałoby mu stosować z największą ostrożnością swe ruchy do ruchów chorego. Należy również postępować nadzwyczaj uważnie przy podjęciu ranionego z miejsca na którem leży, i przenoszeniu go na tragi, wóz, krzesło i t. p. aby nie sprawić mu mocnego bólu, a głównie uniknąć przesunięcia złamanej kości, co byłoby bardzo niebezpiecznem. W tym więc celu, potrzebne są przynajmniej cztery osoby, z których dwie podtrzymują nogę w nieruchomem położeniu, podczas, gdy dwie pozostałe, skrzyżowawszy ręce, podkładają je pod grzbiet i siedzenie chorego; ten zaś ostatni, zachowując napół siedzącą postawę, obejmuje noszących za kark, — po czem następuje podniesienie. Samo z siebie wynika, że wszystkie osoby, biorące udział w podniesieniu i przeniesieniu chorego, powinny działać równocześnie, a najlepiej, jeśli to czynią podług komendy i z największą ostrożnością; takaż ostrożność niezbędną jest i przy złożeniu chorego na obrane miejsce. Przy przenoszeniu, bardzo pożyteczną jest deska, odpowiadająca swą długością złamanemu członkowi, na której układa się nogę w położeniu wyciągniętem i luźno ją umocowywa czemkolwiek do tejże deski. W razie wyjątkowym, gdy przy chorym znajduje się obecną tylko jedna osoba, może ona uskutecznić przeniesienie, biorąc chorego na plecy, w ten sposób, ażeby nogi jego były zwieszone; tam znów, gdzie są dwie osoby mające zamiar przenieść chorego, powinny one trzymając się nawzajem mocno za ręce, wziąść go głębiej pod siedzeniem, — sam zaś chory, siedząc, ma ująć się swemi rękoma za barki przenoszących. Krzesło, na którem ranny może być usadowionym, ułatwia wielce przeniesienie, lecz zawsze należy jak najostrożniej obchodzić się ze złamanym członkiem, aby ten nie uległ żadnemu wstrząśnieniu, wahaniu lub usunięciu.

Rozebranie rannego, które ma się rozpocząć dopiero po przeniesieniu go na miejsce stałego pobytu i po ułożeniu go na pościeli, należy wykonywać najprzód od nieuszkodzonych części ciała, z zachowaniem jak największej ostrożności; gdy już dojdziemy do złamanego członka, potrzeba rozciąć odzież, tam zaś, gdzie ona przylepiła się do ciała wskutek skrzepłej krwi, wypada ją skropić wodą, dopóki nie rozmięknie, po czem zwolna odciągnąć. Zresztą rozebranie najlepiej jest pozostawić lekarzowi.

W oczekiwaniu na przybycie lekarza, któryby potrafił urządzić łoże według przepisów nauki, trzeba chorego położyć w taki sposób, ażeby najmniej doznawał bólu i mógł utrzymywać złamany członek w zupełnej spokojności, nie narażając się na przesunięcie kości. Najdogodniejszemi w tym celu, są dobrze zrobione materace lub równo wypchane sienniki. Tam, gdzie pomoc lekarska i opatrunek złamanej kości, mogą natychmiast być udzielone, wszelkie dalsze leczenie miejscowe okazuje się bezużytecznem. Tylko w razie, jeśli pomoc ta nie tak prędko może nastąpić, wypada przykładać do części uszkodzonej zimne okłady (z lodu, śniegu lub wody), gdyż uśmierzają one zapalenie, powstające w ślad za złamaniem. Homeopatyja, która jak wiadomo, podejmuje się wszystko leczyć, zaleca choremu, w razie nadmiernego osłabienia i omdlenia, wewnętrzne użycie *tojadu* (aconitum), a po upływie kilku godzin — *pomornika* (arnica); jedynie przy mocnych, nieznośnych bólach i drgawkach, przepisuje ona rumianek. Do prędszego wyzdrowienia uszkodzonego członka pomaga *symphytum*. W wypadkach zaś, kiedy kość nie chce się wcale zrosnąć, Hering, homeopata amerykański, radzi napuścić kilka kropli kwasu fosfornego do wody wapiennej, i po wyschnięciu osadu, dawać takowy choremu codziennie na końcu noża. (Czy można to nazwać dawką homeopatyczną?).

d. n.

PRÓBKI WYCHOWANIA DOMOWEGO.

(Szkice pedagogiczne).

(Dokończenie)

Warto im sprawić parę błogich chwilek, jeśli się zręczność potemu nadarza... Westchnęła głęboko i spuściła ku ziemi żywe i piękne oczy.

— *Vous êtes un ange*, Baronowo! zawołała z uniesieniem pani Krycka, ściskając jej rękę.

— Robię co mogę, jednak nigdy tyle co pani!

— Baronowo!

— Nie, mówię na seryjo! Wszystkim wiadomo ile pani świadczysz nieszczęśliwym, któ-

i przyznaje mu rozświetlenie wielu ciemnych dla się punktów. Towarzystwo Nauk Ścisłych w Paryżu nabyło owoc 13-letnich trudów jego, i wydało swoim kosztem *Anatomiją pszczoły*, którą obecnie powtórnie drukują po francusku, a w Londynie Mac-Mollen po angielsku wyda.

Biblijoteka Warszawska (za czerwiec) opowiada krótkie curriculum vitae Girtwojna. Dziadek jego Antoni Palczewski i ojciec, lubili pszczolnictwo. Girtwojn młody zrazu jął kształcić się w innym kierunku, co przytłumiło skłonność dziecinną do badania pasieki rodziców. W r. 1870 znajomość z synowcem dyrektora ogrodu botanicznego, który to dyrektor utrzymuje sam pasiekę małą, zbudziła w Girtwojnie dawne zapały. Pierwszą jego pracą były rysunki do dzieła o pszczołach Ramoszyńskiego. Z ulami tego pasiecznika postępowego, G. udał się do Luchowa pod Kowno, skąd po roku wpisuje się do szkoły w Żabikowie, wydaje *podręcznik*, co zwraca nań uwagę Towarzystwa rolniczego w Poznaniu i zasiłek pieniężny zyskuje. Urządza wzorową pasiekę. Zwiedza zbiory entomologiczne w Berlinie. Odbywa kurs pasieczniczy w Środzie pod Antonim Kremerem. Odbywa wycieczkę fachową w właściwych Prusach (gdańskich i królewieckich). W r. 1871 udaje się do Galicyi i pracuje w Woli Jentowskiej pod Krakowem przy D-rze Kozubowskim, prezesie Tow. pszczolno-jedwabniczego. Potem bawi rok w akademii szląskiej w Prószkowie, i w pracowni d-ra Kenzla tworzy swój *obraz budowy pszczoły*. Akademija Krakowska daje mu za to medal, oraz Wiedeńska wystawa powszechna; a ministerstwo rolnictwa kupuje odeń okazy pszczół anatomiczne z wosku, w rozmaitych okresach rozwoju ich ciała, oraz okazy wrogów pszczolich.

Z Wiednia dąży do Katowic do księdza Dzierżona, uczy się tam jeszcze — podobnie jak w Paryżu, gdzie słucha przez 7 miesięcy najlepszych fizyjologów, i bada w muzeach okazy. Zwiedza pasieki we Francyi i Anglii południowej, zakład pszczolny w Londynie w pałacu kryształowym. Obecnie w podobny sposób bada chodowlę sztuczną ryby, po całej Europie.

To fanatyk nauki; Biblijoteka też pisze: „Z chlubą i radością wskazaliśmy trzyletni bieg *niezmordowanych* usiłowań p. Girtwojna, jego bowiem tryumf jest tryumfem kraju, który go *wypiastował*.“ Pozwolimy sobie zwrócić uwagę piszącego, że wyraz wypiastował jest nie na miejscu. Udział kraju, bez żelaznej wytrwałości Girtwojna, w jego tryumfie ogranicza się do tego iż był jego materyjalną kolebką. Girtwojń sam walczył. Niemasz w opisie Biblijoteki, by miał jakiego *mecenasa*.

Wprawdzie i Dawidsonem się chlubimy, choć publika zrazu go nie przyjęła, a podobno spółbracia w muzie wygryźli!

O ziemio rodzinna niezawsześ ty matką, ty częściej jesteś macochą dla swych dzieci, które też często szukają w obczyźnie przytułku.... i uznania i pomocy —skąpą miarą przez swych spółbraci w chwili łamania się i wzrostu, udzielanych. Chlubisz się gdy stoją u szczytu chwały, a wśród walki, na ich prośbę odpowiadasz zimnem: *ad angusta per angenta, per ardores ad honores* (przez wąwozy na wyniosłości, przez opały do chwały).

rych opatrznością jesteś; — tego ukryć przed światem nie zdołam.

Pani Kryckiej łzy się nawinęły.

— Nie, *cher ange*, przypisujesz mi zbyt wiele... Któż z nas spełnia wszystko co powinien?

— I tak, mam słowo kochanej pani?

— Z przyjemnością!

Odchodząc, baronowa swoją zgrabną rączką, w pachnącą ujętą rękawiczkę, potrzepała pieszczotliwie twarzyczkę Kocia.

— *Eh bien cher petit monsieur*, do widzenia!—mogę rachować na ciebie, nieprawdaż? Kocio zgrabnie uderzył obcasami i ukłonił się zupełnie po salonowemu.

— Il est tout-á-fait charmant, votre enfant, madame.

— C'est vous, baronne, qui êtes aussi bonne que belle.

Panie niezmiernie z siebie zadowolnione, rozstały się nareszcie.

— Jaka to zachwycająca osoba, nieprawdaż? rzekła pani Krycka.

— A przytem, prześliczna, rzekł gość. Nawet Kocio potrafił ocenić jej powaby, gdyż nie spuszczał z niej oczu! Co kochanku? gust masz nie zły? Zabiło ci serduszko, gdy cię rączką pogładziła po twarzy, nieprawdaż? Zakochałeś się, kawalerze?

— Co też pan wymyślasz, rzekła z niechęcią gospodyni; patrz pan jak się chłopak zawstydził i zaczerwienił.

— Czego się ma rumienić? on nie dziewczyna! Żart na stronę, — ślicznotka! co za oczy!.. jakie usteczka, — a figurka? —zachwycenie! I spojrzenie takie, że człowieka do głębi przejmuje.

— Pan zawsze wynajdziesz coś takiego, z niezadowoleniem odezwała się pani Krycka; a ja powiem, że jej oczy mają szkaradny wyraz! Tak je przewraca, tak patrzy niemi, że to prawdziwie nieprzyzwoicie. Zupełnie jak jakaś aktorka, lub coś podobnego. Osoba dobrego tonu nie powinna by sobie pozwalać nic podobnego! A jej usta? farbowane! ręczę za to. I wszędzie pełno waty; zaraz to poznać można; tylko tacy jak pan, nie spostrzegają tego.

— Bądź co bądź, baronowa jest śliczniutka i zawsze dobre sprawia wrażenie; rzekła pani Karolina.

— Naturalnie, przy takich jak ty kobietach, które ani się ubrać do twarzy, ani dobrze wydać nie umieją. A pomiędzy innemi, ani jej znać nawet.

— W każdym razie, mamo, jest to osoba wyróżniająca się w tłumie. Nie wspominając już o jej piękności, ani o zdolności wykazania swych wdzięków, musi mama przyznać że jest rozumna, wiele świadczy dobrego i należy do bardzo czynnych członków towarzystwa. Pani Karolina zdawała się umyślnie drażnić matkę.

— Nie odzywałabyś się lepiej z tem, czego dobrze nie wiesz. Ona, — użytecznym członkiem! Kiedy ona ma czas zająć się czemkolwiek, oprócz swoich strojów i swych wielbicieli? jest tego przecie cały szwadron; trzeba sobie dać radę ze wszystkiemi i mężowi zamydlić oczy, a to nie byle co! I ta gwiazdka! nie będzie ją kosztować ani złamanego szeląga i wszystkie wydatki na ten cel — wiadomo z czyjej kieszeni.

— Mamo, to coś na plotkę zakrawa!

— Wcale nie plotka. Zapytaj pani B. Między matką i córką zawiązała się żywa rozmowa, bardzo do sprzeczki podobna.

— Karolina lubi tylko innym dawać nauczki, a sama zawsze mamie się sprzeciwia, wtrącił się Kocio.

— Ty byś już był cicho, bo to do ciebie wcale nie należy; z widoczną już niecierpliwością odpowiedziała siostra.

— Owszem, należy; wczoraj chciała mnie w kąt postawić, a sama tylko zawsze mamę martwi.

— Bądź że ty cicho! mówię ci raz jeszcze.

— Nie potrzebuję być cicho! Coś to o baronowej mówiła ostatnią razą w mamy pokoju, — pamiętasz? a teraz mówisz co innego?

— Nieznośny dzieciaku! czy skończysz już raz?

— Karolino! zawołała matka.

— Ależ mamo, to nie do wytrzymania.

— Kociu! mój aniołku, zrób to dla mamy, — daj pokój! Pani Krycka uścisnęła syna.

Pożegnałam gospodynię, skoro tylko stosowna nadarzyła się chwila.

Zaledwie wyszłam z tego domu, o parę kroków spotkałam nie młodą osobę, nauczycielkę dającą lekcyje u niektórych moich znajomych, a w tej liczbie i u pani Kryckiej. Znałyśmy się trochę.

— Pani zapewne na lekcyją do PP. Kryckich? zapytałam.

— O nie, pani; dzięki Bogu, już nie jestem nauczycielką tego małego potworu.

— Czyż to dziecko zasługuje na taki przydomek?

— Niech pani sama osądzi; gdyż nie chciałabym aby pani przypuszczać mogła że obmawiam moich uczniów. Czy pani zna panią B?

— Spotykałam ją niekiedy w towarzystwie.

— Ta pani ma na wychowaniu dziesięcioletniego sierotkę. Potrzebując w jakimś interesie wpływu pani Kryckiej, wszelkich używała sposobów by ją sobie zjednać. Między innemi, wiedząc jak matka słabą jest dla Kocia i jak wiele znaczy każde słówko rozpieszczonego chłopca, kazała swemu wychowańcowi by mu się nigdy w niczem nie sprzeciwiał, znosił jego dokuczania bez skargi i ustępował mu zawsze. Kocio, przy wrodzonej swej pojętności, zrozumiał prędko jak rzeczy stoją, i wiedząc że mu to ujdzie bezkarnie, zaczął się pastwić nad biednym Jankiem. Nieraz musiałam być świadkiem, jak niegodziwy chłopiec znęcał się nad biednym sierotą i dokuczał mu wszelkiemi sposobami, znajdując w tem szczególne upodobanie. Broniłam Janka ile mogłam, lecz nie łatwa to była sprawa. Raz gdy mnie wywołano do innego pokoju, niegodziwy dzieciak zbił biednego sierotę i twarz mu całą podrapał. Ukarać go nie miałam prawa, postanowiłam jednakże nie darować mu krzywdy Janka. Mnóstwo było gości na obiedzie, nie miałam zręczności zbliżyć się do

---

Jeszcze jeden szczegół z Biblijoteki Warszawskiej. Gloger powtarza w jej zeszycie czerwcowym swój wywód lingwistyczno-topograficzny imienia Moniuszków. A. Walicki w swej bijografii *Stanisław Moniuszko* (Warszawa 1873) wypisuje z pamiętnika jego ojca Czesława tradycyją familijną, iż ród ten pochodzi z Rzymu, z rodziny Moneo. Dwaj członkowie tej rodziny włoskiej, mieli przybyć w wieku XV, a zasłużywszy się krajowi, dostali rzekomo indygienat z nazwą Moniuszków i herbem krzywda, poczem osiedlili się w ziemi Bialskiej, nad rzeką Biebrzą. Gloger raz zbiwszy tę tradycyją, powtarza swe dowody w piśmie trwalszem, aby później taki nie był spór o rodowość Moniuszki jak Kopernika.

Powód rozprawy tchnie tym samym duchem chełpliwości co wzmianka o Girtwojnie. Nie to jednak skłania nas do powtórzenia wywodów autora. Czytając jego sumienny artykuł przyszła nam na myśl dawna manija naszych karmazynów wywodzenia się od zagranicznej szlachty, błyszczenia pożyczaną chwałą, nieraz wątpliwej wartości.

Ot naprzykład o litewskiej rodzinie Paców dowodzono, że w epoce gdy Julijan Medici brat założyciela dynastyi Medicich padł z ręki Pazzich (Pitti), współzawodników tak Julijana jak Leonarda Medici, ci mordercy mieli uciec do Litwy i dać początek rodzinie Paców. Weryha Darewski podaje że na Litwie szczury zowią pacami.

Poniatowscy wywodzili się od Tończellich włoskich, gdy pokątna Sapiehów tradycyja niosła, że idą od podstarościego w Rykach i żydówki ulubienicy któregoś z Sapiehów.

Ślepowrony polskie gotowe były podszyć się pod wątpliwej moralności rodowód Runijadego i herbu Korwin, byleby wywieść się z obczyzny.

I Moniuszkowie, pseudo Moneo włoscy, chorowali na tęż samą słabość.

Znane jest o nich przysłowie na Biało-rusi. „Moniuszko, co ma niedźwiedzie uszko.“

Imię ich, jak słusznie uważa Gloger, ma końcówkę zdrobniałą, pospolitą wielce w ich kącie rodzinnym koło Goniądza. Mówią tam wujko, stryjko, Jaśko i t. d., stąd Moniuszko, Kościuszko, Sierkuszko, Sanguszko, Orzeszko, Szafranko, Onuszko, brzmiące jedynie prawidłowie w dopełniaczu Sanguszka, Moniuszka, nie Sanguszki, Moniuszki, jak Jaśko, Jaśka. Moniuszko tak powstało z Mońko jak kamuszek, wianuszek, kwiatuszek.

Dotąd są wsie Mąki (Monki), Moniaki, Monkowce, Monowice, Maniłowka, koło Goniądza Mońki, Moniuszki, Moniuszeczki. W r. 1529, 1546, 1775 jest znana wieś i rodzina Moniuszków. Wieś 11 dziedziców 1775 r. liczyła, z tych sześciu było Moniuszków; dwaj mieli po 2 dymy, czterej po jednym.

Być może imię Mońko jest jednobrzmienne z Mojko, który był 1239 r. kasztelanem głogowskim.

Kronika zagraniczna Biblijoteki za czerwiec zebrała w jednę rubrykę nazwiska dawnych hugonockich wychodźców z Francyi, którzy osiadłszy w Brandeburgii, przyjęli jej język francuzczyznę starą, wpłynęli na jej chwałę literacką, a dziś stoją w pierwszym rzędzie napastników dawnej swej ojczyzny, przodując

pani Kryckiej, lecz skorośmy wstali od stołu prosiłam panią Krycką o chwilkę rozmowy. Skoro tylko Kocio, śledzący za mną, usłyszał te słowa, porwał matkę za rękę i pociągnął ją w kąt pokoju. Jakie jej ukuł kłamstwo, — nie wiem, lecz w kwadrans potem ujrzałam czułą matkę ściskającą swoję pociechę. Wyszła do mnie rozpromieniona:

— Le cher enfant powiedziało mi prawdę, rzekła; przebaczmy mu, kochana pani, i nie mówmy już o tem. Kocio jest zbyt żywy, uniósł się, to prawda, ale serce ma szlachetne nie mogę mu więc tak bardzo mieć za złe, że go tak oburzyła podłość i nikczemność tego przybłędy.

— Jaka podłość! jaka nikczemność?.. zawołałam w oburzeniu; — ależ Janek nic nie winien, a Kocio...

— Dość — proszę pani nie wspominać o tem; — wierzę słowu mego dziecka i jego prawości; Kocio nigdy nie kłamie.

I odeszła z miną zagniewaną.

Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, szkaradny dzieciak wbiegł do pokoju, a pokazując mi język, rzekł z drwinami i złością:

— A cóż? nie udało ci się, stara czaplo! Ruszaj sobie stąd precz lepiej, rób plotki gdzie indziej. Nie boję się ciebie.

Rozgniewana i oburzona poszłam do gabinetu pana Kryckiego. Zastałam go nad papierami; przy pierwszych słowach moich przerwał mi bardzo grzecznie i delikatnie słowami: że to do niego nie należy, że to rzecz matki, a on ma inne obowiązki i w tej chwili bardzo jest zajęty. Wyszłam z pokoju drżąc ze wzruszenia i gniewu; Kocio który na mnie czekał, podsłuchując u drzwi, przyskoczył do mnie natychmiast i pięścią w piersi mnie uderzył; łająć szkaradnemi wyrazami. Domyślić się łatwo, że odtąd noga moja nie postała w tym domu; przyzna pani że mam prawo nazywać to dziecko potworem.

Nazajutrz, wyszedłszy z domu spotkałam mego dobrego znajomego, pana Leona T.; szedł spiesznie, a twarz jego wyrażała zły humor. Spostrzegł mię gdyśmy już byli o parę kroków od siebie i starał się przybrać weselszą i spokojniejszą minę.

— Czy wszyscy zdrowi w rodzinie pańskiej? zapytałam.

— Dziękuję pani uprzejmie, odpowiedział; żona zdrowa, dzieci zdaje się też nie chore, lecz okropnie niespokojne. W domu wytrzymać nie podobna; pracować ani sposobu. Czy też to być może, aby wszystkie dzieci na całym świecie tak były hałaśliwe? Cóż to za piekło być musi tam, gdzie ich jest kilkoro, kiedy u nas tylko dwoje, a z domu uciekać trzeba.

— Już też pan bardzo niecierpliwym być musi, odpowiedziałam z uśmiechem; gdzież pan widział takie dzieci które nie płaczą, nie mają kaprysów i zachceń swoich.

— Ja też ani śmiem wymagać nic podobnego; krzyk dziecinny, chociaż bardzo nie miły, znieść łatwiej niż ten zamęt, niepokój nieustanny, zamięszanie i nieład, jakiego dzieci są przyczyną. Znasz pani moję żonę? Cóż można zarzucić tej najzacniejszej, pełnej serca i poświęcenia kobiecie? a jednak, wierzysz pani temu? nie ma dnia, abym nie życzył sobie z duszy, widzieć ją mniej troskliwą matką, obojętniejszą dla dzieci, więcej o sobie samej niż o nich myślącą.

— Tego już nie rozumiem; odpowiedziałam.

— Zrób mi pani łaskę i spędź w naszym domu parę godzin; pojmiesz pani mój stan i może wpływem swoim podziałasz trochę na moję żonę.

Państwo F. zajmowali niewielkie mieszkanie na jednej z bocznych ulic. Poczciwa stara Marcinowa, dobra moja znajoma, piastunka niegdyś Feluni a dziś jej dzieci, utworzyła mi i powitała uprzejmie.

— Że też to pani zajrzała nareszcie do nas, powiedziała mi z uśmiechem, —już nas ludzie znać nie chcą.

— Czemuż by tak być miało moja Marcinowo?

— A Bóg to wiedzieć raczy. Prawda, że moja pani nawet do kościoła wyjrzeć nie ma czasu; ciągle z tą dziatwą, — zamęczyła się biedaczka.

W tem, rozległ się dźwięk jakiś przeraźliwy, i staruszka oddaliła się z pośpiechem, a ja weszłam do sali. Ogromną znalazłam odmianę w tym pokoju, gdzie nie jedną miłą, na wesołej pogadance, w przyjemnem towarzystwie spędziłam godzinę. Meble jeszcze nie stare, były wytłuszczone i powalane, albumy podarte, nieporządek wszędzie; zabawki dziecinne walały się po wszystkich kątach. Z sąsiedniego pokoju dolatywała mnie jakaś dzika muzyka, składająca się z płaczu dziecka, śpiewu piastunki, dźwięku jaki wydaje mosiężne naczynie, gdy się o nie czem metalowem uderza, i przeraźliwego miauczenia kota. Wśród tej wrzawy usłyszałam głos Feluni:

— Heluniu, Lunieczko! nie ciągnij tak kotka za ogon, bo ci rączkę podrapie; patrz jaki zły.

— Ja chcę ciągnąć! odezwał się rozkapryszony głos dziecka.

— Puść kotka, dzieciątko drogie, puść — mama cię prosi.

— Niech mama da cukierków, bo niepuszczę kota i będę ciągnąć za uszy i za ogon.

— Lunieczko! to źle, kotka boli.

— Cukierka! cukierka! cukierka!

— Doktór nie pozwala cukierka, ja ci dam jabłuszko.

— Nie chcę jabłuszka, chcę cukierka! Będę bić mamę i Manię i kotka i Edzia.

Rozległ się krzyk przenikliwy, tupanie nóżkami, kot wrzasnął jeszcze głośniej, małe dziecko zapłakało, — obie niańki i matka krzyczeć zaczęły. Nie mogąc znieść tego piekielnego hałasu, weszłam do dziecinnego pokoju, sądząc że się na co przydać będę mogła.

Oczom moim następujący przedstawił się obraz:

Na ręku Feluni czteroletnia Helenka krzyczała w niebogłosy, szarpiąc się, bijąc matkę, która chciała owinąć jej zadrapany przez kota paluszek. Marcinowa wyjmowała z szuflady całą garść cukierków aby niemi uspokoić dziecko.

---

nawet rodowitym niemcom w tym względzie. Jak np. Dubois Raimond, zwany Franzosenfresser (frankożerca), wyraził pobożne uczucie Nerona by Francyja miała jednę głowę, którą by mógł żelazny książe, jednym ciosem miecza zrąbać. Francuska płynie krew w tym frankożercy, podobnie jak w Savignym słynnym legiście i ministrze sprawiedliwości, Michelecie hegliście, który w 1874 r. obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz profesorskich swych trudów.

Dalej Ancellon minister oświaty, poeta Chamiso, baron Remont, hrabia Renard i wielu innych *Niemców* pochodzi z rodzin emigrantów francuskich, którzy po odwołaniu edyktu nantejskiego składali $1/5$ całej ludności Berlina, założyli Moabit wieś na północ tego miasta, kędy mają swój kościół i szkołę. O nich pisze Biblijoteka:

„Ci niewdzięczni synowie przeklinają Francyją z całą nienawiścią sekciarzy i neofitów. Kiedy cesarz Wilhelm powrócił do Berlina w purpurze Fryderyka Barbarosy, kolonija *Frankoniemiecka* wręczyła mu adres posłuszeństwa i wierności. „*Dzienniki pruskie naganiły tę zbyteczną gorliwość.*“ Okazuje się, że najgorsi są dla swoich—zbiegi. Do nienawiści patryjotycznej Momsena dla Francyi znajdujemy tam ciekawy przyczynek. Jako spólpracownik Napoleona III, uczony ten pobierał 10,000 fran. rocznej pensyi. Po wojnie 1871 r. napisał do któregoś uczonego w Paryżu, z zapytaniem czyby mu pensyi nadal niepłacono. List pozostał bez odpowiedzi.

Momsen napisał rozprawę: *Po wojnie*, w której między innemi, wzywa do zapomnienia uraz międzynarodowych, tym bardziej, gdy francuzi, zasługują na pobłażanie, bo nie wiedzą co czynią. *Jestto naród idyjotów!* Czy dla tego że mu pensyi nie chcieli płacić?

Czytamy w Izraelicie, że dobroczynne panie wyznania Mojżeszowego, pod przewodnictwem p. Emilii Löwenberg, pragnąc przyjść w pomoc ubogim dziewczętom, oddały w tych dniach, 12 kandydatek na naukę rzemiosł.

Myśl ta zacna i pożyteczna powinna znaleść odgłos we wszystkich sercach, osób miłosiernych, a w gronie chrześcijańskich współbraci szlachetne naśladownictwo. Danina to najlepsza, bo nie uwłaczająca godności osobistej, lecz przeciwnie pokrzepiająca ożywczym promieniem użytecznej pracy.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Bereśniewiczowi w Popielanach.
„ Bronikowskiemu w Mglinie.
„ Janickiej w Nowym Dworze.
„ Jarkowskiej w Rusakach.
„ Ilnickiej w Lewadzie.
„ Lipińskiej w Petersburgu.
„ Romanowskiemu w Wilkomierzu.
„ Stankiewiczowej w Wilkomierzu.
„ Teraszkiewiczowi w Tyfliskiej.
„ Zaleskiej w Kijowie.
„ Pęskiemu w Rostowie nad Donem.

Upraszamy o nadesłanie po rs. 1 do uzupełnienia całkowitej opłaty za kwartał III-ci gdyż z nadesłanej pierwotnie prenumeraty, pozostaje na ten cel tylko po rs. 1.

P-i Bielskiej w Marczence na skutek listu z d. 19 (31) maja, Nr 14 powtórnie posyłamy, innego zażalenia nie otrzymaliśmy wcale.

Druga piastunka trzymała na ręku dwuletniego Edzia, bawiąc go w ten sposób, iż przyśpiewując z całych sił, uderzała w tackę blaszaną. Felunia moja, niegdyś śliczna, lubiąca strój i wesołość, wyglądała okropnie; nieuczesana, w zmiętej i podejrzanej czystości bluzie, z twarzą na której przerażenie i rozpacz prawie się malowały, prawdziwą litość obudziła we mnie.

Skinęłam na piastunkę Edzia by zaprzestała swego koncertu, szepnęłam Marcinowej aby potrzymała gwałtem rączkę Heluni i zawiązałam skaleczony palec kawałkiem płótna. Dziewczynka zdziwiona przybyciem nowej osoby, która się jej fochów nie ulękła, zamilkła natychmiast.

— Wstydź się Helenko, odezwałam się seryjo, taka już słuszna jesteś dziewczynka i martwisz mamę swemi kaprysami. Kotek cię udrapnął, boś na to zasłużyła; nie trzeba go było męczyć.

Dziecko popatrzyło na mnie zadziowionemi oczkami i skryło twarzyczkę na piersiach matki, ale bez krzyku i złości.

— Przeproś mamę, mówiłam dalej, i pobiegnij prędzej i przynieś mamie szklankę wody, bo ją główka zabolała od twoich krzyków.

Dziewczynka pocałowała matkę, spojrzała na mnie nieśmiało i pobiegła do drugiepo pokoju po wodę.

Przywitałyśmy się z Felunią.

— Jak też mnie zastałaś, moja Olesiu! rzekła biedaczka rumieniąc się i poprawiając pośpiesznie włosy i ubior. Cóż się to ze mnie zrobiło! nieprawdaż? lecz nie mam ani chwili dla siebie, w ciągłej jestem trwodze o dzieci, cały czas mój one zajmują.

— Ależ moja Feluniu, trujesz sobie życie daremnie.

— Jakże chcesz abym się na sługi spuściła? dzieciom tak łatwo zaszkodzić...

— Szczególniej zbytecznem dogadzaniem, rzekłam z uśmiechem.

Felicyja zarumieniła się trochę.

— Prawda, dzieciaki moje są kapryśne i rozpieszczone trochę, a ty właśnie natrafiłaś na scenę, która ci je w najgorszem przedstawiła świetle; ale przecie i u nas nie zawsze tak źle bywa.

W tej chwili Helenka z Marcinową razem przyniosły wodę na tacce.

Stara piastunka rozpromieniona śledziła za dziewczątkiem, które otarłszy oczki, z minką nieśmiałą ślicznie wyglądało. Matka spojrzała na mnie z wyrazem niewypowiedzianego szczęścia i chluby, a postawiwszy wodę na stole, porwała dziecko i w ręce całować je zaczęła.

— Pociecho moja ukochana! dzieciątko najmilsze, Lunieczko moja jedyna! powtarzała okrywając pocałunkami dziecko: to ty mamę kochasz?

— Niech mama da dużo cukierków, szepnęła dziewczynka po cichu, spoglądając na mnie ukradkiem.

— Dobrze, moje złoto, dam ci dużo, tylko nie jedz od razu. A teraz idź do Marcinowej, rzekła napełniając obie rączki dziewczynki słodyczami.

Skoro dziecko odeszło, Felicyja rzekła do mnie z żywością:

— Prawda, co to za aniołek moja Lunieczka?

— Jeszcze by milszą była, gdybyś jej tak niemiłosiernie nie psuła.

— Co też ty psuciem nazywasz? biedactwo paluszek ją boli, a ona mi usługuje!.. i nie mam jej dogodzić za to?

— Nie wiem jednak czy twój rozkaz spełniłaby tak chętnie?

— No, ja też tego pedantycznie nie wymagam; chcę żeby mnie dzieci kochały i szczęśliwe były, nie dbam o resztę.

— Czy i o to nie dbasz aby twoje dzieci były miłe komu innemu prócz ciebie.

— Jak to, a któż by mógł nie lubić takich aniołków?

— Szczególniej wtedy gdy z kaprysów ciągną kota za ogon i napierają się z krzykiem cukierków, które im szkodzą.

— Zanadto surową jesteś, rzekła z lekkiem niezadowolnieniem Felicyja, zapominasz że Helunia ma dopiero piąty rok.

— Zatem, jest już w takim wieku, że parę słów wyrzeczonych seryjo, opamiętać ją może, jak to widziałaś przed chwilą, i że stać się może, skutkiem twej słabości, samolubną, kapryśną i okrutną.

— Ach, przesadzasz moja droga!

— Ani trochę, wierz mi. Chcąc postawić na swojem i dostać cukierek, groziła ci że będzie bić mamę, nianię, Edzia i kotka.

— To tylko puste słowa dziecinne, którym nie należy dawać znaczenia.

— A w jakim wieku podobne słowa będą miały znaczenie właściwe.

— Ach, przecież to samo odmieni się z wiekiem; kiedy dorośnie, pewnie nie będzie się napierać cukierka.

— Ale będzie wymagać balów, strojów, przyjemności, których może ty nie będziesz mogła dostarczyć jej przez wzgląd na jej dobro i zdrowie.

Rozmowę naszę przerwał krzyk Edzia, który zobaczywszy Helenkę jedzącą cukierki, napierać się ich zaczął, a że był nie zupełnie zdrów, matka obawiała się by mu to nie sprawiło nudności, na które cierpiał często. Zaczęło się bieganie po pokoju, pukanie w szyby, znoszenie różnych, przeróżnych zabawek, które dziecko ciskało, nie chcąc patrzeć na nie, i nie przestając krzyczeć, — muzyka na fortepijanie, brząkanie kluczami, dzwonienie, wszystko w celu zabawienia dziecka, które wciąż grymasiło.

Czekałam dobry kwadrans czem się to skończy, i myślałam że pan T. miał zupełną słuszność wynosząc się z domu, gdzie taki gwar trwa nieustannie.

Nakoniec, chłopczyna zmęczony własnem wysileniem, uspokajać się zaczął. Felicyja wyszła znowu do mnie, prowadząc Helenkę z rączkami lepnącemi od cukierków. Chciała ją umyć, ale swawolna dziewczynka wyrwała się z rąk matki, pobiegła i o kanapę wycierać zaczęła osmolone rączki.

— Co ty robisz Lunieczko! daj pokój! wołała matka; „psujesz wszystko, niegrzeczna jesteś.

Ale dziecko ani myślało zaprzestać swojej swawoli.

Nakoniec udało się Marcinowej zmoczonym ręcznikiem umyć paluszki zlepione i skłonić do zabawy dziewczynkę. Helenka usiadła na stołeczku pod oknem i lalką bawić się zaczęła; w krótce wydało jej się że lalce zimno — poszła do sąsiedniego pokoju, przyniosła nożyczki i aniśmy się spostrzegły jak w jednej chwili ucięła kawałek firanki na kołdrę dla lalki. Zrozumiałam teraz dla czego salon wyglądał tak nieszczęśliwie.

Felunia odebrała dziecku nożyczki, co znowu spowodowało długą scenę krzyków, przy której już mój wpływ pozostał bez skutku. Widząc że się na nic nie przydam, a biednej Felusi zamiast przyjemności przykrość sprawić mogę tem iż jestem świadkiem jej opłakanego położenia, pożegnałam moję koleżankę, na inną porę odkładając dłuższą z nią rozmowę.

E. H.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH
KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Koń przebył rzekę nie zmoczywszy sobie jednego włosa na grzbiecie i możesz być najlepszej myśli mój młody przyjacielu, bo twojej młodej pannie nic się nie stało złego.

— A wilki czy poszły za koniem przez rzekę?..

— Zanadto szelmy mają na to sprytu—a za krótkie nogi.

Zrozumiały że koń z milę dobrą uleci, zanim one na drugą stronę przepłyną, to też daję wam najświętsze słowo że wcale nie myślały nawet o tem. Otwórzcież nareszcie oczy, boć oto ich przecie znaki, a chmara była tego bestyjstwa. Na wołowe rogi! toż brzeg cały stratowany jakby ponim przeszło stado owiec.

Nachyliliśmy się żeby rzecz tę sprawdzić dokładniej i istotnie zauważyliśmy liczne ślady pazurów wilczych. Cała gromada widocznie skupiła się w jedno miejsce a rozważywszy że dalsza pogoń na nic się nie przyda, zaniechała polowania i rozbiegła się w przeróżne strony.

Oby dał Bóg iżby to nie było wątłem przypuszczeniem tylko.

Dla Ruba było to jednak matematycznym pewnikiem, a żem w doświadczeniu jego najzupełniejszą pokładał ufność uspokoiłem się znacznie. Reszta moich towarzyszów rozmaitego było zdania co do poglądów Ruba.

Garej który nie ustępował starszemu towarzyszowi pod względem doświadczenia, potwierdził dowodzenie Ruba.

Koń był więc jeszcze zdrów i cały, prosiłem więc tylko Boga żeby miał w opiece tę którą na sobie unosił.

W każdym razie ze lżejszem, jak to mówią, sercem skoczyłem znowu na siodło a moi towarzysze poszli za moim przykładem i poje-

chaliśmy wzdłuż brzegu, szukając oczami miejsca dogodnego do przebycia rzeki.

Nie było to tak bardzo łatwo w obec wody. Widok skał sterczących, pieniących się czarnych bałwanów i bystro płynącej pianą pokrytej wody nie zachęcały wcale do probowania przeprawy.

Wszyscyśmy widzieli że to rzecz niemożebna.

Rozdzieliliśmy się za tem na dwa oddziały, i jedni poszli w górę rzeki, drudzy dół jej badali.

Po niejakim czasie zeszliśmy się znowu ze sobą — ale odrazu miny skwaszone objaśniły że nikt nic nie odkrył.

Nie byłem wstanie ścierpieć nowej zwłoki. Toć ani dla mnie, ani dla mego konia, ani dla ogółu moich współtowarzyszów, przebycie głębokiej rzeki osobliwością nie było.

Po pod spadzistym brzegiem woda zwalniała nieco biegu i zdawała się tracić gwałtowność swoję.

Przy świetle księżyca, dojrzałem że brzeg przeciwny był daleko niższy i lekko pochyły, koń zatem z łatwością będzie się mógł nań dostać.

Nie namyślałem się dłużej... Ileż to już razy Moro płynął ze swoim panem na grzbiecie, ile razy pruł swojemi piersiami gwałtowniejsze jeszcze od tych bałwanów fale?.. Zwróciłem go ku rzece, spiąłem ostrogą i rzuciłem się w wodę.

Słyszałem iż to samo uczynili wszyscy moi towarzysze ani jednego nie wyłączając.

Jeden też za drugim dostaliśmy się na drugą stronę bez najmniejszego szwanku.

Policzyłem moich ludzi na prędce, w miarę jak się wydobywali z wody... jednego mi nie stało jeszcze.

— Kogo pomiędzy nami brakuje, spytałem.

— Ruba, odpowiedział mi głos jakiś.

Spojrzałem po za siebie ale bez żadnej obawy bo pewny byłem iż się staremu nic złego nie stanie — a i Garej utrzymywał że będzie on umiał sobie poradzić. Coś go musiało zatrzymać, ale co?.. Może stara klacz jego nie była już wstanie pływać...

— Pływa jak ryba odpowiedział Garej — tylko Rube nie będzie chciał dodawać jej swoją osobą ciężaru z obawy ażeby nie zadługo była w wodzie. — Patrzcie— widzicie go otóż idzie tam...

I w tej chwili ujrzeliśmy na środku rzeki dwa cienie jeden za drugim posuwające się w prostej linii.

Cień pierwszy to siwawa głowa klaczy, cień drugi to twarz jej pana.

Przyświecający jasno księżyc uwydatniał ich wyraźnie na powierzchni wody, ku pociesze głośnej tych co pierwsi na brzeg przybyli.

Rube miał swój sobie właściwy sposób przepływania wody, zawsze go używał czy to dla oryginalności czy też żeby klacz jego swobodniejszą była w poruszeniach.

Wjechał wolno do rzeki i siedział na siodle dopóty dopóki koń miał grunt pod nogami, kiedy jednak zaczął płynąć zesunął się zeń, chwycił za ogon zębami i pociągany płynął tak pomagając sobie rękami. Skoro tylko klacz dostawała się na grunt znowu wskakiwał na siodło.

Gdy się poczęli wdrapywać na brzeg te szkielety wymokłe w wodzie która się z nich lała strumieniem, i człowiek i koń mieli miny tak pocieszne, że towarzysze na nowo głośnym śmiechem parsknęli.

Nie czekając aby się uspokoili popchnąłem konia wzdłuż rzeki i dojechałem wkrótce do miejsca w którem zdawało mi się że znajdę stracony ślad.

Na wielką moję radość, tropy kopyt białego rumaka znajdowały się tuż na przeciwko punku z którego rzucił się był w przepaść.

Rube miał racyją utrzymując iż ją przebył bez wypadku.

Dzięki Bogu Isolina wyszła szczęśliwie z okropnego niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ LXIII.

Las w miniaturze.

Kiedy na nowo zacząłem iść za śladem, trzy okoliczności dodawały mi odwagi; po pierwsze że nie potrzebowałem obawiać się już o rzekę — bo widocznie Isolina jej nurty przebyła szczęśliwie, powtóre ze wilki zmuszone zostały zaprzestać pogoni skoro po drugiej stronie nie było znać ich śladów i po trzecie że koń biały zwolnił biegu bo lubo szybko jeszcze puścił się w dalszą drogę, nie galopował jednakże przecie.

— Tutaj szedł stępa zauważył Bill Garej skoro tylko oczy jego na ślad trafiły.

— Stępa — doprawdy?..

Rozumiałem znaczenie tego wyrazu, wiedziałem że ten sposób biegu, właściwy koniom stepowym, był prędki ale spokojny.

Isolina czuła odtąd zaledwie lekkie poruszenia rumaku — jej tortura była mniej dotkliwą.

Było także prawdopodobnem że nie będąc już płoszonym przez dziką zgraję, stepowiec zatrzymał się by wypocząć choć trochę a w takim razie...

Z pewnością nie bardzo jest od nas daleko...

My wszyscy co prawda byliśmy także zmęczeni już porządnie, ale przyjemne nadzieje nie pozwalały nam myśleć o znużeniu, to też z większą bodaj siłą pchaliśmy się dalej — dalej.

Niestety! widocznie przeznaczonem mi było być ciągłych zawodów igraszką.

Zaledwie oddaliliśmy się od rzeki o jakie paręset kroków napotkaliśmy przeszkodę która prawie że w niwecz obróciła nasze zabiegi.

Był to las dębów karłowatych —ciągnący się jak oko zasięgnąć mogło. Lubo żadne zgoła drzewo nie miało więcej nad trzydzieści cali wysokości, ani zarośla ani krzaki, ale las to był prawdziwy.

— Dęby karłowate! krzyknęli moi towarzysze zbliżywszy się do jego brzegu...

— Ha! to nowa znowu bieda! zawołał Rube zniecierpliwiony, złaźcie wszyscy z koni niechaj sobie odpoczną, a my przeczołgać się musimy.

Jak powiedział tak się stało.

I tak przez czas porządnie długi czołgaliśmy znowu za śladem, wspierając się na kolanach i na rękach.

Znaki kopyt dosyć wyraźne były i można by było przy świetle dziennem swobodnie iść za nimi, ale karły dęby rosły zwarto jak gdyby ręką ludzką zasiane, światło więc z księżyca z trudnością się przedostawało przez ich gęste liście. Gałęzie prawie przylegały jedne do drugich tak iż cała powierzchnia gruntu pogrążona była w ciemności wśród której nic prawie rozróżnić nie było podobna.

Ślad prowadził wyraźnie aż do środka a my nie doszliśmy jeszcze do połowy gdy księżyc blednąć zaczął przed purpurowym wschodem jutrzenki.

W krótce las stawał się rzadszym, a gdzie niegdzie przestrzeń otwarta porosła trawą ukazywać nam się poczęła.

Pozbyliśmy się zatem kłopotu.

Światło słoneczne padało teraz na ślady w taki sposób iż przewodnicy mogli pędzić co koń wyskoczy, więc też pospiesznie zbliżaliśmy się do środka stepu.

Przedmiot naszej pogoni biały rumak przebył już tę drogę.

Z początku szedł wolno, ale nagle jak o tem przekonywały znaki które po za sobą zostawił, skoczył naprzód i puścił się wyciągniętym galopem.

Co u licha spowodowało nowy ten ruch gwałtowny?..

Nie umieliśmy sobie zdać jasno z tego sprawy — nie umieli odpowiedzieć na to i ci co się wybornie znali ze stepem.

Był on gładki jak szklanna tafla, a w dodatku pokryty zielonym a tak miękkim kobiercem że lekka nawet łapa wilka byłaby się odznaczyła wyraźnie — a tu żadnych zgoła znaków nie było.

Może biały rumak zląkł się sam siebie, lub niezwykłego sposobu w jaki na nim siedziano, może spiczaste końce petardów rozjątrzyły mu rany i działały teraz jak ostrogi, może hałas oddalony mógł mu przypomnieć krzyki ludzi i wycie wilków więc umyślił że za nim gonią na nowo może...

Okrzyk naszych przewodników jadących na czele położył koniec wszystkim przypuszczeniom.

Obadwa oni wskazywali nam na ziemię. Ani z ust jednych najmniejsze nie wyszło słowo — nikt z nas żadnych nie potrzebował objaśnień, ujrzeliśmy wszyscy własnemi oczami przyczynę dla której biedne zwierzę puściło się galopem.

Tuż pod nami zielony kobierzec stepowy pognieciony był i pogryziony. Nie były to znaki czterech ale czterystu przynajmniej kopyt koni które pasły się były na trawie, a wszystkie tak świeże iż nie można było jednych od drugich rozróżnić.

— Stado dzikich koni, odezwali się przewodnicy.

Były to znaki kopyt bez podków, ale kto wie czy nie był to oddział Indyjan nie używających nigdy podkowy.

Przewodnicy utrzymywali iż były to luźne konie, iż nie nosiły jeszcze nigdy na sobie nikogo, iż znajdowały się między niemi bardzo

młode źrebięta, iż było to jednem słowem dzikie stado mustangów.

Z miejsca w którem na ich ślad natrafiliśmy stado to popędziło co sił starczyło, a znaki „białego“ przepadły pomiędzy innemi.

— Tak — tak, mówił Rube przeciągłym swoim głosem, rozumiem teraz co to znaczy. Wylękły się spostrzegłszy naszego zbiega, i porzuciły obozowisko.

— A widzicie oto jego znaki na samym końcu, widocznie pobiegł za niemi. Tutaj ciągnął dalej stary, w miarę jakeśmy się zbliżali, tutaj dopędził ich, tutaj rozleciały się bądź w prawo bądź w lewo, a stąd ruszyły galopem.

Jestem pewnym że teraz zapoznali się z sobą doskonale i nie obawiam się już o nic. Patrzcie tylko nasz teraz biegł w samym środku gromady.

Przy tych słowach podniosłem mimo woli oczy wystawiając sobie że widzę konie przed sobą.

Domyślny tłómacz leciał przed nami pochylony na siodle z oczami wlepionemi w ziemię.

Wszystko to co powiedział, wyczytał z powierzchni stepu, z hieroglifów zupełnie dla mnie niezrozumiałych ale dla niego tak czytelnych jak zadrukowana karta.

Zdawało mi się że to co mówi musi być prawdą, biały rumak pogalopował za dzikiem stadem, dopędził je i w punkcie właśnie w którym się znajdujemy dostał się w sam jego środek.

Odkrycie to przykremi myślami napełniło mój umysł. Przewidywałem nowy szereg niebezpieczeństw, dla tej której poprzysiągłem życie w ofierze — a było to jak mi się zdawało niebezpieczeństwo wielkie, dziwne i przerażające.

Zdawało mi się że widzę Isolinę w pośród tej dzikiej gromady, z błyskawicami w oczach, z czerwonemi nozdrzami rozwścieczonej na nowego intruza. Widziałem jak zajadle rzuca się na niego, jak wyszczerza swoje żółte błyszczące zęby, jak wspina się w górę i silnemi uderzeniami kopyt powala go o ziemię.

Rozgorączkowana wyobraźnia coraz straszniejsze wytwarzała w mej duszy obrazy.

A jednak w tem przerażającem przypuszczeniu mógł być cień chociaż prawdy.

Wskoczyłem pospiesznie na wyniosłość i ze szczytu pagórka spostrzegłem prawie wierne odbicie okropnej sceny jaką przewidywałem.

ROZDZIAŁ LXIV.

W ucieczce.

Nie czekałem na zdanie moich towarzyszy ale spiąwszy ostrogami Mora pobiegłem co sił ku stadu.

Nie zrobiłem żadnego naprzód planu, nie starałem się ukrywać wcale — bo Bogiem a prawdą czasu nawet nie miałem.

Biegłem jedną tylko owładnięty myślą — biegłem aby rozpędzić dzikie stado i jeżeli nie zapóźno oswobodzić białego konia i przywiązaną doń ofiarę od kopań i ukąszeń dzikich nieprzyjaciół.

Odetchnąłem spostrzegłszy że do koła mego rumaka była pewna przestrzeń pusta co świadczyło że napastnicy grozili mu tylko zdaleka.

Gdyby był sam byłbym może postąpił z większą roztropnością, byłbym pomyślał może o jakiej zasadzce aby go uchwycić, ale teraz nie mogło być o tem mowy — okoliczności wymagały największego pośpiechu.

Pasterze i szeregowcy puścili się za mną i byli bardzo odemnie blisko.

Nie zbyt duża przestrzeń oddzielała nas od stada ale że jechaliśmy pod wiatr—konie dzikie nie spostrzegły nas a tembardziej nie posłyszały nas jeszcze.

Krzyczałem z całej siły żeby je nastraszyć i zmusić do ucieczki, moi towarzysze wtórowali mi na całe gardło, nic to nie pomagało wszelako.

Przyszedł mi lepszy na myśl sposób, wydobyłem rewolwer z zapasa i dałem kilka wystrzałów chociaż jeden nawet byłby dostatecznym.

Huk dobry sprawił skutek pomimo iż wiatr dął z przeciwnej strony — dzika zgraja spłoszyła się i zaprzestała ataku. Część jej jakaś oddaliła się zaraz w podskokach, pozostałe zawróciły w naszę stronę z dzikiem rżeniem poruszając głowami a były i takie które zbliżyły się ku nam na odległość strzału karabinowego, a spostrzegłszy się wydawały okrzyk przerażenia i cofały się przestraszone.

Biały tylko rumak i nieszczęśliwa na nim ofiara pozostał na tem samem miejscu na którem ujrzeliśmy go pierwotnie.

Chwilę jakąś biedne zwierzę pozostawało nieruchome jakby zdumione nagłem zniknięciem napastników, ale posłyszał także huk wystrzału i sam go jeden może zrozumiał.

W tem hałaśliwem drżeniu powietrza rozpoznawał głos ludzki, głos jego największych nieprzyjaciół, a mimo to nie poruszył się nawet.

Myślałem że pozwoli się spokojnie pochwycić, ale omyliłem się w rachubach.

Byłem jeszcze o kilkaset odeń kroków gdy się wspiął na tylne łapy, skoczył naprzód i popędził dalej. Jego krzyk przeraźliwy który się rozległ w powietrzu zdawał mi się okrzykiem szyderstwa i zapowiedzią zemsty.

Szydził z mojej próżnej pogoni, obiecywał pomsty za to żem go kiedyś wziął do niewoli.

Pędziłem tak jak Moro pędzić był w stanie nie zatrzymując się na narady z mojemi towarzyszami, których wyprzedziłem teraz znacznie.

Zresztą nie potrzebowałem już obecnie pomocy ich i doświadczenia. Teraz szło o to tylko żeby lecieć jak najprędzej, aby pochwycić zbiega, aby uchronić od śmierci tę którą dźwigał na sobie, jeżeli ona żyła tylko jeszcze.

Nie było czasu oddawać się niepotrzebnym lamentacyjom, odepchnąłem owładające mną wzruszenie, i zająłem się wyłącznie pogonią.

Wołałem na Mora po imieniu, ściskałem go rękami i kolanami, a rzadko kiedy prułem ostrogami.

Wkrótce spostrzegłem że zaczyna słabnąć i zestrachałem się o skutek walki.

Długa jazda dniem i nocą musiała się odezwać nareszcie, odczułem jego ogromne znużenie po ciężkości z jaką galopował. Przy nim koń stepów był zupełnie jeszcze nie zmęczony.

Ale tutaj szło o śmierć i życie Isoliny, a może i o moje także życie. Ja nie chcęjej przeżyć bynajmniej. Ha trudno, nie mogę oszczędzać Mora chociaż by miał to śmiercią przypłacić.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Historyja o Janaszu Korczaku i o pięknej Miecznikównie—powieść z czasów Jana Sobieskiego przez J. I. Kraszewskiego. Dwa tomy w jednym. Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga 1875 r. str. 376 in 8-o.

Jakby czarnoksięzką dłonią pobudza tu autor do życia zamarłe postacie przeszłości. Piętno jego wyryte na postaciach skreślonych z nieporównaną werwą i barwnością. Czytając te dzieje, czujesz jakbyś się rzeczywiście przeniósł w owe życie, pełne uroczych blasków poezyi. Staje ci ono przed oczyma w promieniach jakiegoś zaczarowanego świata, w pełni uczuć serdecznych.

Dzielny, poczciwy szlachcic uwydatnia się pełnymi barw i werwy rysami w starym mieczniku. A szlachcic to duszą całą, nie zniżył by się nigdy do parwenijusza, lecz i magnackie nie pachną mu komnaty. Kiedy żona wspomina mu o świetnych zamiarach względem córki, do serca której puka bogaty dziedzic sławnego imienia, przerywa jej opryskliwie: „Ta, ta, ta, pewnie, pewnie, ale jabym takiego rubasznego szlachcica wolał, co by go choć trochę czosnkiem słychać było, bo ja w piżmo nie wierzę, a ten mi piżmem śmierdzi. Dobry humor nie opuszcza miecznika w najcięższych przygodach życia. Skoro Janasz przybywa go uwolnić z niewoli tatarskiej, schudzony i sponiewierany biedaczysko, w sposób jowijalny opisuje smutne dzieje swoje, i nareszcie, jakby wychodząc nagle z zamyślenia zapytuje najnaiwniej, czy też bułanka już ożrebiła się? Kiedy basza żąda wielkiego okupu: „dyjabła zjedzą! grosza nie dam!"—woła z zapałem. A skoro Janasz powiada, że miecznikowa przygotowała znaczną sumę, aby tylko wydobyć męża z niewoli, dzielny szlachcic obrusza się rubasznie: „Albo mi tu tak źle? Żaden doktór takby mnie z otyłości nie wyleczył jak te bisurmany. Czysty zysk! brzucham się pozbył. A no, za kuracyją im płacić nie myślę. Wracajcie do króla i powiedzcie, że ja tu sobie posiedzę..." „Jedź do Mierzejewic.“ — mówi dalej,—„kłaniaj się im wszystkim i powiedz, że ja za łaską Bożą, sam też się wkrótce tam wrócić spodziewam. Niechaj Wojda pszenicę młóci!“ Słowem nie traci ani na chwilę mężnego ducha i wesołości, drwi z ciemiężców swoich, i postanawia wyrządzić im niebezpieczny figiel i uciec skrycie. Nie czyni to bynajmniej ze skąpstwa, ale tak z fantazyi.

Dowiedziawszy się o miłości, jaką zawrzało serce córki do biednego sieroty, nie wie zrazu co począć. Poczucie szlachetnego honoru i źle pojęta miłość dla dziecięcia walczą w je-

go duszy, z serdecznym przywiązaniem do zacnego chłopca, który ocalił życie najdroższym mu istotom i za niego też srogą poniósł niewolę. Skoro zaś pierwsze uczucie zwyciężyło i wydalił z domu biednego Janasza, podtrzymując w mniemaniu córki wieść o śmierci jego, czuje ciężkie zgryzoty sumienia, podsycane jeszcze widokiem dziecięcia, jak blada snująca się mara, i potąd nie doznał spokoju, póki zmiana sytuacyi nie pozwoliła na uszczęśliwienie dwojga kochających się istot.

Główny bohater powieści Janasz Korczak biedny sierota, wychowanek miecznika — jest postacią nader szlachetną i sympatyczną. Ale brak mu tej staropolskiej krewkości, którąby harmonizowała należycie z wielkością ducha młodziana. Zbyt pokornie skłania on głowę pod srogi miecz losu. Rycerski w niebezpieczeństwie, miękki jest jak niewiasta, posłuszny jak dziecię. Słowem postać to zbyt idealna—zdolna tylko do wzniosłych czynów i poświęcenia. Dla siebie niczego nie żąda. Miłość bez nadziei, szlachetność bez nagrody — oto los, do którego zdaje się być stworzonym ten żyjący ideał. Wśród najsroższej katuszy losu—bierna boleść była jedynym protestem pogwałconego prawa do szczęścia. Skarga nigdy nie zawitała na spieczonych ustach! Zdaje się on być aniołem, postawionym na straży ukochanych osób, aniołem, rozdzierającym wiecznie piersi aby krwią swoją szczęście ich okupić. Nigdy nawet oburzona godność osobista i duma, nie wywołały silniejszego rumieńca na twarz młodziana. Odtrącony od łona opiekunów, przypisuje raczej sobie winę, ani cząstki jej nie zwalając na tych, dla których czuł poddańczą prawie cześć i przywiązanie. W boleści staje się niemym, skamieniałym. Najsroższe obelgi w niewoli znosi z upornem milczeniem. Słowem zdaje się iż natura wlała w tę postać odrobinę krwi dla tego tylko, aby zawrzała na widok niebezpieczeństwa powierzonych jego opiece istot, a później popłynęła obficie na ich ocalenie. Wieczne męczeństwo wypiętnowane jest na jego czole i wieczne zaparcie się siebie. Nie walczy on nigdy w imię pogwałconych uczuć własnych. Okrutne szpony losu napotykają w nim dobrowolną prawie ofiarę.

Z nieporównaną prawdą skreślonym jest świetny typ staroświeckiego kapelana — starego przyjaciela, ojca duchownego i zarazem pokornego sługi przezacnych dobrodziejów swoich. Postać to równie jak inne, nacechowana prawdziwą rycerskością.

Z innych postaci męzkich zasługuje na uwagę ciemnemi barwami skreślona osobistość podłego łotra i zdrajcy Dorszaka, walecznego i całą duszą przywiązanego do swych państwa dworskiego kozaka Nikity, dalej lekko lecz również z życiem werwą i nieporównaną prawdą zarysowane typy dzielnego pułkownika Dulęby i eleganckiego i rycerskiego dworaka— kasztelanica Jabłonowskiego.

Nie mniej idealnemi cechami odznaczają się postacie kobiece. Rycerski duch ubiegłych wieków przelał się i w serca szlachetnych matron i uroczych dziewic. A łączyły się z nim bratnim węzłem prawdziwie niewieście przymioty: łagodność, miękkość i czułość. Opromieniały one niebiańskim blaskiem zacisze domowego życia. d. c. n.

GOSPODARSTWO i Przemysł domowy.

Czytamy w Ognisku Domowem: Lody w rozmaitych gatunkach tak są łatwe do zrobienia i mało kosztowne, iż każdy mając przepisy ich przyrządzania pod ręką, z łatwością takowe w domu zrobić może.

Do wyrabiania lodów potrzebne są następne naczynia:

1. Puszka okrągła, podługowata, cynowa, około dziesięciu do dwunastu cali wysokości, a cztery do pięciu szerokości mająca, nieco węższa u dołu niż u góry, zamykana szczelnie przykrywką z tegoż samego metalu, na wierzchu z obszernym uchem, służącem do obracania puszki w lodzie.

2. Ceberek drewniany około szesnastu do dwudziestu cali wysokości, a dziesięć do dwunastu szeroki, u dołu z otworem zatykającym się czopkiem, do wypuszczania wody z topniejącego lodu.

3. Kilka wiosełek wąskich z długimi około czternastu cali trzonkami, do rozbijania grudek wytwarzającego się lodu.

Najpowszechniej są używane lody śmietankowe z różnemi przyprawami i owocowe.

Zasadą wszystkich lodów mlecznych jest zaprawienie mleka, wedle następujących przepisów.

Przygotować kwartę dobrego niezbieranego mleka i umięszać z sześcioma świeżemi żółtkami od jaj, ubitemi lecz nie na pianę z ćwierć funtem miałko sproszkowanego cukru, następnie wystudzić i przecedzić przez włosiane sito.

Z zaprawionego w ten sposób mleka wyrabiają się następne gatunki lodów:

Waniliowe, łut wanilii przegotować w mleku i dodać do powyższej zaprawy, przecedziwszy pierwej przez cienkie płótno.

Kawowe, dodając do powyższej zaprawy jak najmocniej odgotowanej czarnej kawy, stosownie do upodobania.

Czekoladowe. Rozgotować w wodzie kawałek czekolady i wlać do zaprawionego mleka.

Palone. Do zaprawionego w powyżej opisany sposób mleka, dodaje się dwa łuty spalonego cukru na karmel i łyżkę kwiatu pomarańczowego.

Maraskinowe. Do zaprawionego mleka, dolewa się odpowiednia ilość maraskino, stosownie do gustu, aby lody urządzone w ten sposób zawierały w sobie smak należyty i odpowiednią tęgość.

Na lody owocowe zaprawa przygotowuje się w ten sposób:

Poziomkowe. Kwartę pięknych dojrzałych poziomek, oczyścić starannie z wszelkich obcych części, ugnieść w kamiennym moździerzu dodając po trochu czystej zdrojowej wody, w końcu zaś dodaje się łyżkę stołową soku cytrynowego oraz wody z kwiatu pomarańczowego. Potem całą tę masę przeciska się przez gęste płótno, a gdy się sok ustoi dodaje się pół funta sproszkowanego cukru, a gdy się zupełnie z sokiem rozpuści, odcedzić ostatecznie przez gęste płótno i jest gotowym do zrobienia z niego lodów.

W ten sposób wyrabia się zaprawa do przyrządzania lodów *wiśniowych, porzeczkowych, malinowych* i innych, nadmieniając iż owoce kwaśniejsze potrzebują stosunkowo większej ilości cukru.

Cytrynowe. Wody zdrojowej kwarta jedna, cukru półtora funta, cytryn osiem lub dziesięć stosownie do ich wielkości i soczystości, obciera się o cukier dla nadania lepszego zapachu, barwy i smaku, poczem rozpuszcza się w wodzie, gotuje na wolnym ogniu dla otrzymania wolnego syropu, do którego następnie wciskają się cytryny, a płyn cedzi przez gęste płótno.

Pomarańczowe robią się tak samo jak cytrynowe, tylko mniej potrzebują cukru.

Ponczowe, robią się podobnie jak cytrynowe, z tą tylko różnicą, że syrop cokolwiek powinien być wysmażonym więcej i gdy są już dostatecznie w puszce zamrożone, wlewa się pół kwarty rumu lub araku, mieszając zwolna drewnianą łopatką, aby arak dobrze się zmięszał z całą masą.

Gdy którakolwiek z powyższych zapraw jest już przygotowaną, zlewa się do puszki, bacząc, aby tylko dwie trzecie części jej wypełniała, reszta zaś była próżną a nakrywszy szczelnie pokrywę, wstawia do ceberka napełnionego drobno potłuczonym lodem pomięszanym z solą kuchenną, dodając takowej funt jeden na trzy funty lodu. Upchawszy szczelnie lód około puszki, zakręca się przez nią kilka minut, poczem puszka się otwiera i wiosełkiem odrywają zamrażające cząsteczki płynu około puszki, wrzucając je do środka. Czynność ta powtarza się dotąd, dopóki cały płyn w puszce się znajdujący nie zgestnieje, nieutraci swej przezroczystości i niejako śniegiem się nieokryje. Wtedy wiosełkiem zmarznięta masa wybija się jak najmocniej, co nadaje lodom miękkość i jednostajną równość. Dopełniwszy tego kilkakrotnie masa będzie równa, bez grudek i kawałków lodu, przyjemna dla oka i smaku. W trakcie roboty, aby lód lepiej działał a mniej topniał, należy go wyjąwszy puszkę dobrze wymięszywać z słoną wodą, która spływa ku dołowi.

Lody podawane w filiżankach, wyjmują się z puszki drewnianą łyżką, bacząc na to, aby puszka pozostawała w lodzie, chcąc zaś całkowitej kolumny użyć do ozdoby stołu, trzeba mieć naczynie głębokie napełnione ukropem, w którym na chwilę zanurzona puszka z lodami, a następnie spodem przewrócona do góry nad półmiskiem wysunie się i stanie całą kolumną. W miarę upodobania można ją przyozdobić z wierzchu konfiturami, polać sokiem, szodonem lub śmietaną ubitą z cukrem i cytryną i t. p. co zależy zupełnie od gustu lub wyboru.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 (15) Іюня 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.